

mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Choreodram, zapomniana forma teatralna

Gest staje się rytuałem, światło i drgający emocjami cień, ruch, muzyka i cisza opowiadają ich historię niemal w sposób hipnotyczny, konsekwentnie magiczny, niepokojący umysł i rozbudzający wyobraźnię

miXer

magazyn studentów

Nr 42, styczeń 2011

Spis treści

Od redakcji	3
Niech Was ręka boska broni przed fałszowaniem czegoś w indeksie!	4
Było, ale nie minęło	5
O roku ów!	6
Zobaczyć Oksford i... ..	8
Ewaluacja, czyli uczelniany „totolotek”	9
W pułapce swojej bezsilności	10
Pech czy szczęście? Szczęście!	11
Uwaga, baba za kierownicą... ..	12
Choreodram, zapomniana forma teatralna	14
Warto zostać couchsurferem	15
Telesciema, czyli na co chorują polskie seriale?	16
Zapisać znaczy zrozumieć	18
Uczta dla duszy i zmysłów	19
Dlaczego wziąć (a nie: wziąć)	20
Co o tanecznym savoir-vivre wiedzieć należy	21
Obudź się na nowości!	22
„Nie wstydź się mówić, że kochasz”	23

Dołącz do nas!

mixer_ka@interia.eu

REDAKCJA:

Redaktor naczelna:
Dorota Zdechlikiewicz

Zastępca redaktor naczelnej:
Marlena Wojnowska

Zespół:
Jacek Cierniak
Andrzej Kurdziel
Marcin Majewski
Magdalena Nowak
Bernard Szatkowski

Numer współtworzyli:
Robert Brańka
Weronika Hetko
Katarzyna Kurdziel
Maciej Saskowski
Katarzyna Sternalska
Wioleta Żelasko
WIAT

Zdjęcia
Katarzyna Rożek

okładka
Tomasz Łukasik

dtp i layout
Mateusz Janusz (hussars.pl)

adres
mixer_ka@interia.eu

druk
Drukarnia AARA

nakład
2000 egzemplarzy

opieka redaktorska
Maciej Malinowski
(Wydział Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.

miXer
magazyn studentów

Choreodram, zapomniana
forma teatralna

Jesteśmy
na facebooku



Mixer magazyn
studentów
Krakowskiej Akademii

Od redakcji:



Mamy karnawał! Weszliśmy w najbardziej rozluźniony okres w roku. Bale, imprezy, potańcówki, zdarte podeszwy bucików, wino, muzyka i śpiew... Jednym słowem – szaleństwo.

Po świątecznym obżarstwie i lenistwie każdemu przyda się odrobina ruchu. Taniec zresztą od zawsze był bardzo ważną częścią relacji międzyludzkich, sposobem na zbliżenie, a nierzadko na wyrażenie najbardziej intensywnych emocji, czyli tego, co nam w duszy gra.

Nie byłabym sobą, gdybym nawet w karnawale nie odnalazła politycznego wątku. W ramach nieustającego w naszej rzeczywistości political tango puścimy wodze fantazji i wyobraźmy sobie na przykład Donalda Tuska w ognistym paso doble z posłanką Beatą Kempą albo Jarosława Kaczyńskiego tańczącego mroczne tango z Joanną Kluzik-Rostkowską. Znalazłoby się także miejsce dla solistów pokroju Janusza Palikota, który zgodnie ze swoimi założeniami mógłby tańczyć „od lewego do prawego”. Białe tango natomiast niewątpliwie zachwyciłoby Pawła Poncyłjusza, ulubieńca polskich kobiet.

Taniec, tak jak muzyka, łagodzi obyczaje, co naszym politykom z pewnością wyszłoby na dobre. Przy okazji być może udałoby się załatwić kilka ważnych spraw, takich jak emerytury, parytety, budżet i wiele innych. I naprawdę nie musiałby to być danse macabre.

A dla wytchnienia pomiędzy jednym a drugim tańcem zapraszam serdecznie do lektury nowego numeru „Mixeru”, w którym jest i taniec, i polityka, i hazard, i wiele innych ciekawych tekstów. Szczególnie polecamy tekst o zapomnianej formie teatralnej, choreodramie, gdzie taniec pozostaje rozmową, miłością, nienawiścią, pasją...

Dorota Zdechlikiewicz,
redaktor naczelna „Mixeru”

Za jakie wykroczenia można stanąć przed Komisją Dyscyplinarną KA?

Niech Was ręka boska broni przed fałszowaniem czegoś w indeksie!

Czy kusilo Cię kiedyś, żeby wypełnić pustą rubrykę w indeksie, kiedy nie otrzymałeś zaliczenia lub nie zdałeś trudnego egzaminu? Z pozoru – drobnostka, a jednak niesie za sobą bardzo poważne konsekwencje. Właśnie w tak prosty sposób możemy zostać postawieni w stan oskarżenia i znaleźć się przed obliczem Komisji Dyscyplinarnej.

Komisja Dyscyplinarna to dwuinstancyjny organ mający za zadanie orzekać w sprawach o przewinienia studentów. W jej skład wchodzi wykładowcy akademicki oraz studenci. Podstawą orzekania jest *Ustawa o szkolnictwie wyższym* oraz *Regulamin studiów KA*.

Za jakie wykroczenia można stanąć przed Komisją Dyscyplinarną KA?

Zdaniem Rzecznika Dyscyplinarnego mgr Agnieszki Bednarczyk „*Spośród około 40 spraw rocznie aż 90 proc. dotyczy podrobienia dokumentów, w tym zaświadczeń lekarskich, dowodów wpłat i wpisów w indeksach*”. Należy pamiętać, że gdy dopuścimy się podrobienia dowodu wpłaty, sprawa nie zakończy się w Komisji Dyscyplinarnej, tylko zostanie skierowana do prokuratury.

Studenci często zapominają, że nie mogą samodzielnie wypełniać wszystkich rubryk w indeksie. Trzeba wiedzieć, że niezależnie od oceny w indeksie zawsze musi widnieć osobisty podpis wykładowcy. Pokusa podrobienia wpisu dotyczy głównie studentów studiów zaocznych, którzy ze względu na brak czasu i rzadkie wizyty na uczelni częściej dopuszczają się fałszerstw.

Krótki czas przebywania na uczelni nie stanowi jednak żadnej wymówki. Pamiętajcie, że jeśli nie możecie dotrzeć do wykładowcy, zawsze możecie się zwrócić do dziekana o tzw.

wpis dziekański, który zastępuje wpis wykładowcy.

W momencie wykrycia fałszerstwa w indeksie oskarżonym jest zawsze jego właściciel. Dlatego pilnujmy swoich indeksów i powierzajmy je tylko osobom zaufanym. W razie jakichkolwiek wątpliwości wykładowca dokonuje pisemnego poświadczenia autentyczności podpisu, stąd w razie fałszerstwa możemy się narazić podwójnie.

Osobny rozdział w pracach Komisji Dyscyplinarnej stanowi weryfikacja „codziennych” zachowań studentów. Dotyczy to w szczególności mieszkańców akademików. Studenci często zapominają o tym, że powierzone im mieszkania stanowią czyjąś własność, a niszcząc je, narażają na szwank dobre imię naszej uczelni oraz zmuszają władze do ponoszenia kosztów za wyrządzone szkody.

Jeśli dalej będzie dochodzić do łamania reguł domu studenta, możemy w ogóle utracić możliwość zakwaterowania tam naszych studentów. Przypominamy, że odpowiednim miejscem do picia alkoholu są krakowskie kluby i puby, a na pewno nie akademiki!

Część z Was zapewne przemyka oko na opisane przez nas wykroczenia,

jednak weźcie pod uwagę to, że za ich popełnienie grożą naprawdę poważne sankcje. Ustawa o szkolnictwie wyższym przewiduje następujące kary:

- upomnienie rektora, nagana, nagana z ostrzeżeniem;
- zawieszenie studenta w określonych prawach na okres do jednego roku;
- wydalenie z uczelni lub z akademika.

Ograniczenie w prawach studenta może brzmieć błaho, jednak oznacza to brak możliwości składania podań np. o stypendia (w tym socjalne), warunki długo- i krótkoterminowe, pozbawienie biernego i czynnego prawa wyborczego do organów samorządu studenckiego oraz zakaz korzystania z pomieszczeń dydaktycznych, wyposażenia technicznego oraz biblioteki.

Dodatkowo dyscyplinarne wydalenie z uczelni powoduje niemożność ponownego podjęcia studiów aż do zatarcia się skazania, tj. po upływie 3 lat. Ponadto miejcie na uwadze to, że sprawa przed Komisją Dyscyplinarną jest jawna, co naraża oskarżonego na utratę dobrego wizerunku w oczach kolegów i wykładowców.

Szczególnie zainteresowanych odsyłamy do lektury *Ustawy o szkolnictwie wyższym* i *Regulaminu studiów KA* oraz zapraszamy do *Poradni Regulaminowej KA przy Samorządzie Studenckim* (pokój 012A).

**Caroline Stępień,
Szymon Solarski**



Gdy rozum śpi, budzą się demony.
Nasze, polskie mają się dobrze...



Było, ale nie minęło

S tyczeń we wszystkich mediach to czas podsumowań. Oceniamy miniony rok, wspominamy to, co utkwiło nam najmocniej w pamięci.

Dla mnie rok 2010 był rokiem katastrofy smoleńskiej. Z pewnością nie tylko dla mnie, w wielu wypowiedziach bowiem pobrzmiewają echa kwietniowych, straszliwych wydarzeń. To, co zdarzyło się w rosyjskim brzozowym zagajniku wczesną wiosną, ma dla mnie jednak wymiar dużo szerszy i o wiele bardziej rzutujący na nadchodzące lata.

Staliśmy się mimowolnymi świadkami narodzin jeszcze jednego polskiego mitu. Z właściwą mitom politycznym precyzją polaryzuje on rzeczywistość, wprowadza głęboką dychotomię tam, gdzie jej wcześniej nie było. Mit smoleński, jak każdy inny, steruje społeczną wyobraźnią, zwalniając jednocześnie z wysiłku samodzielne myślenie, analizowania, interpretowania faktów. Każde działanie polityków jest obecnie wartościowane z perspektywy Smoleńska, a każda decyzja rozważana w tym konkretnym aspekcie. Na nawie mitycznej pozwalamy się nieść w otchłań absurdu.

Gorzka to lekcja dla Polski, a co gorsza – nieniosąca ze sobą żadnych istotnych zmian na lepsze – ani w sposobie uprawiania polityki, ani w mentalności rządzących, ani w nas samych. Polska polityka jest szalona, skrajnie emocjonalna i niesłuchanie daleka od racjonalizmu.

Gdy rozum śpi, budzą się demony. Nasze, polskie mają się dobrze i raczej nieprędko rozum odzyska nad nimi panowanie. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że społeczeństwo zmęczone wojną polsko-polską zdoła przejrzeć na oczy, że w wyborczym roku 2011 pokaże twarz nie liberalną, nie solidarną, nie bezmyślną, lecz zwyczajnie mądrą.

I tego właśnie nam wszystkim serdecznie życzę.

Dorota Zdechlikiewicz

Dowiedzieliśmy się, że żadnej afery hazardowej nie było i choć każdy mógł poczytać sobie stenogramy z rozmów Rycha i Zbycha, to przecież z demokratycznymi wyrokami Komisji nie warto dyskutować. Świat natomiast żył katastrofą ekologiczną wywołaną wyciekiem ropy w Zatoce Meksykańskiej oraz losami górników uwięzionych w chilijskiej kopalni.

0 roku ów!

Rok 2010 rozpoczął się jak najlepszy thriller, według kardynalnej zasady mistrza Hitchcocka: na początku musi być trzęsienie ziemi, a później napięcie już tylko rośnie. Trzęsienie ziemi na Haiti dosyć gwałtownie otrzeźwiło społeczność międzynarodową z pozostałości lekkiego sylwestrowego rauszu. Na ratunek poszkodowanym ruszyła pomoc humanitarna z całego świata, w tym z Polski. Posłaliśmy tam żywność, medykamenty i grupę wyspecjalizowanych strażaków ratowników. Dla niektórych owo tragiczne wydarzenie było przyczynkiem do zdobycia wiedzy, że Haiti i Dominikana leżą na jednej wyspie.

Dalej napięcie już tylko rosło. Świat ugiął się pod ciężarem kryzysu gospodarczego. Jedynie premier Tusk i minister Rostowski bardzo chętnie fotografowali się na tle mapy, na której wyjątkowo Polska zaznaczona była kolorem zielonym. Jako Polacy, byliśmy z tego dumni, jednak tylko nieliczni zdawali sobie sprawę z tego, jaką cenę jako podatnicy niebawem poniesiemy za tę zieleni. W głowach speców od politycznego marketingu, największych partyjnych graczy, snuły się plany, jaką by tu najlepszą strategię przyjąć na jesienne wybory prezydenckie.

Tymczasem na Islandii zadrżała ziemia, a wulkan, którego nazwę niewielu potrafiło wymówić, plunął kłębami wulkanicznego pyłu. Zajście to spowodowało dosyć spore zamieszanie w ruchu lotniczym i emisję CO₂ w takich ilościach, w jakich współczesna cywilizacja nie potrafiłaby wyemitować nawet przez najbliższych 20 lat. Wojujący ekologowie skrzętnie przemilczeli ów fakt, wszak to Ziemia puściła bąka, więc my, lokatorzy, nie mamy nic do gadania.

Nadszedł kwiecień i zarówno PR-owcom politycznym, jak i całemu polskiemu społeczeństwu ziemia obsunęła się spod nóg. Pod Smoleńskiem rozbija się samolot wiozący na pokładzie najważniejszych urzędników państwowych, w tym prezydenta i jego małżonkę. Niestety, w przeciwieństwie do Haiti, do Smoleńska nie wysłano żadnych polskich służb. Pojechali jedynie politycy, ale i w tym wypadku nie

obyło się bez przepychanek. Plany na prezydencką kampanię wyborczą musiały ulec całkowitej zmianie. Jeśli komuś przemykało przez głowę powiedzonko sprzed kilku miesięcy o dorzynaniu watahy, musiał je gwałtownie stłumić w głowie, zanim znalazło się na języku.

Kampania wyborcza przebiegła bez fajerwerków. Zabrakło miejsca i czasu na dziadków z Wehrmachtu, lecz w jednocześnie natura pokazała swoje kaprysy i spowodowała w naszym kraju powódź. Pełniący obowiązki prezydenta marszałek Bronisław „Wpadka” Komorowski popisał się, co prawda, wysmienitym *bonmotem*, że woda ma to do siebie, iż przypyływa, wzbiera i odpływa, ale na szczęście dla marszałka ani ten, ani inne lapsusy nie przeszkodziły mu w osiągnięciu sukcesu w wyborach i objęciu urzędu Prezydenta RP.

Woda również nie dawała za wygraną i uparcie ponawiała ataki na wszelkie możliwe wały przeciwpowodziowe. W ślad za nią szeroką lawą rozlały się po kraju rzesze polityków, gdzie indziej niosąc dobre słowo i pomoc, a gdzie indziej tylko zamieszanie.

Lato w Polsce upłynęło względnie spokojnie, jeśli nie liczyć oczywiście awantury o Krzyż Pamięci ustawiony przed Pałacem Prezydenckim. Dowiedzieliśmy się również, że żadnej afery hazardowej nie było i choć każdy mógł sobie poczytać stenogramy z rozmów Rycha i Zbycha, to przecież z demokratycznymi wyrokami Komisji nie warto dyskutować.

Świat żył natomiast katastrofą ekologiczną wywołaną wyciekiem ropy w Zatoce Meksykańskiej oraz losami górników uwięzionych w chilijskiej kopalni. Jak wiemy, niezwykła praca ekipy ratunkowej pozwoliła trzydziestu trzem górnikom szczęśliwie wrócić do swoich rodzin. Niestety, tyle samo szczęścia nie mieli polscy pasażerowie autokaru, który rozbił się na niemieckiej autostradzie, pochłaniając 14 ofiar śmiertelnych. To tragiczne wydarzenie szybko zastąpiono w codziennych newsach informacją o ponad 150 poszkodowanych i hektarach skażonej ziemi po wycieku toksycznych substancji z węgierskiej fabryki aluminium.

Statystykę nieszczęśliwych wypadków powiększa powódź w Pakistanie. Ponad 1700 ofiar śmiertelnych i 20 mln poszkodowanych! Jak widać, ostatni rok obfitował w katastrofy powodowane przez najróżniejsze żywioły.

Październik przynosi kolejne tąpnięcie na polskiej scenie politycznej. W swoim łódzkim biurze poselskim zostaje zastrzelony Marek Rosiak. Jego śmierć wzbudza gwałtowną dyskusję o uspokojenie języka, jakim posługują się politycy. Efektem jest, niestety, jeszcze większe zaciętrzewienie i eskalacja wzajemnych oskarżeń wszystkich uczestników politycznego sporu.

W listopadzie odbywamy wybory samorządowe, w których wygrywa Platforma Obywatelska. Tym samym po raz pierwszy od 20 lat jedna formacja polityczna uzyskuje właściwie całkowitą władzę w państwie. Ze środowiska Platformy Obywatelskiej pochodzi prezydent. Prezes Rady Ministrów, będący jednocześnie przewodniczącym PO, wykonuje ustawy parlamentu, w którym większość stanowi klub parlamentarny PO plus przychylny mu PSL i czasami SLD. Premier gospodarskim okiem nadzoruje prace parlamentarzystów, a czasami nawet wyprzedzi ich działania jak np. wtedy, gdy zapragnął królowi dopalaczy pokazać, gdzie raki zimują.

Tak więc w grudniu PO, osiągnąwszy pełnię władzy, realizuje PIERWSZĄ ze swych wyborczych obietnic. Mianowicie obcięcie dotacji dla partii politycznych z budżetu państwa. Trochę długo to trwało, ale miejmy nadzieję, że dalej poleci już z górki.

Na koniec roku znaczna część Europy została sparaliżowana przez gwałtowny atak zimy. Setki ludzi ugrzęzły na nieczynnych lotniskach i zakorkowanych autostradach. Na szczęście obradującym na światowym szczycie dotyczącym globalnego ocieplenia pogoda się udała. Złośliwe języki powiadają, że nie bez powodu na miejsce organizacji tego posiedzenia wybrano Brazylię. Być może też dlatego zima się o globalnym ociepleniu nie dowiedziała i jak zwykle w okolicach grudnia dosyć mocno dała o sobie znać.

Właściwy stosunek do zimy wykazała pani prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, która oświadczyła, że nie ma sensu wywozić śniegu z ulic stolicy, ponieważ kiedyś przecież sam stopnieje. Boskie doprawdy, prawie tak samo jak kultowy cytat z Misia: *Kierowniczko!! Jak jest zima to musi być zimno!* Na to, co działo się na naszych trasach kolejowych i dworcach PKP, spuścimy zaslonę milczenia. Jeszcze przeczyta to jakiś student z cywilizowanego świata i dopiero będzie poruta.

Jacek Cierniak

Od redakcji:

Za tytuł tekstu Jacka Cierniaka posłużył nam cytat z Adama Mickiewicza. Słowami „O roku ów” zaczął on jedenastą księgę „Pana Tadeusza” zatytułowaną „Rok 1812”:

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju.

Ten nie nazwie cię nigdy rokiem urodzaju.

Nie nazwie ciebie rokiem pełnych spichrzów, gumien,

Ale rokiem tragedii, nieszczęść oraz trumien.

Na zdjęciu:

USA, Zatoka Meksykańska, 6 maja 2010: Duże ilości ropy naftowej unoszące się na wodach Zatoki Meksykańskiej po katastrofie Deepwater Horizon. (Fot. Chris Graythen/Getty Images)

Pobyt na słynnym, angielskim uniwersytecie był dla studentów Wydziału Prawa i Administracji Krakowskiej Akademii niezwykle cennym doświadczeniem. Udało im się znaleźć pozycje książkowe w Polsce po prostu nieosiągalne

Zobaczyć Oksford i...

W ubiegłym roku w czerwcu wraz z kolegami z seminarium magisterskiego Wydziału Prawa i Administracji Krakowskiej Akademii uczestniczyłem w wyjeździe studyjnym do Oksfordu. Głównym celem naszej wyprawy było skorzystanie ze zbiorów bibliotecznych tamtejszego uniwersytetu. Mielśmy również okazję zwiedzić zabytkowe miejsca tego słynnego na całym świecie angielskiego miasta.

Ponieważ jestem studentem prawa, najciekawszy punkt programu stanowiła dla mnie wizyta w miejscowym sądzie. Dzięki niej bezpośrednio zetknąłem się z tym jakże odmiennym od polskiego systemem prawnym. Ale po kolei...

Pierwszy dzień wyjazdu poświęciliśmy na aklimatyzację. Oswajaliśmy się z topografią miasta, dopełnialiśmy ostatnich formalności związanych z dostępem do biblioteki i zapoznawaliśmy się z panującymi w niej obyczajami. Musieliśmy opracować najsukuczniejszą metodę poszukiwania istotnych, z perspektywy tematów naszych prac magisterskich, zbiorów. Owa czynność tylko z pozoru wydaje się łatwa, w rzeczywistości trzeba się wykazać nie lada cierpliwością i niezwykle wyostrożonym zmysłem orientacji, by zlokalizować pożądaną książkę na którejs

z tysiąca półek bibliotecznych czy w bazach elektronicznych.

Procedury związane z dostępem do biblioteki okazały się stosunkowo niewielkie. Tu dodam, że zanim uzyskaliśmy zgodę na skorzystanie z biblioteki i czytelní, musieliśmy złożyć ślubowanie, w którym zadeklarowaliśmy ścisłe przestrzeganie regulaminu. Może właśnie z tego względu na półkach z oksfordzkimi książkami panuje tak idealny porządek?

Przez następne dni pracowaliśmy głównie intelektualnie. Wyszukiwaliśmy i gromadziliśmy konkretne zbiory oraz oddawaliśmy się ich lekturze w celu wyselekcjonowania przydatnych materiałów. Wieczorami następowała wymiana doświadczeń. Dyskusja dotyczyła zazwyczaj odnalezionych informacji. Większość z nas mogła się pochwalić dotarciem do teorii kryminalistycznych, zupełnie niedostępnych w krajowych bibliotekach.

Bardzo mile zaskoczyły nas warunki lokalowe i obsługa hotelu, w którym nas zakwaterowano. Każdą wolną chwilę przeznaczaliśmy na zwiedzanie Oksfordu. Wszystkie zorganizowane wyjścia były niezwykle ciekawe, co zawdzięczaliśmy przede wszystkim opowieściom prof. Jerzego Koniecznego, naukowca o ogromnej wiedzy na temat historii Oksfordu.

Pobyt w Anglii dał nam możliwość sprawdzenia umiejętności

lingwistycznych w zakresie języka angielskiego. Od zawsze wiadomo, że najlepszym sposobem na podszkolenie języka bywają rozmowy z jego rodzimymi użytkownikami. Co najważniejsze – trapiące nas przed wyjazdem obawy okazały się przesadzone. Potwierdziły się natomiast opinie starszych seminarzystów, którzy wcześniej uczestniczyli w podobnym wyjeździe.

– Wyjazd wspominam bardzo dobrze. Umożliwił mi on zebranie niedostępnych w kraju materiałów, jak się później okazało, niezbędnych do napisania pracy magisterskiej na odpowiednio dobrym poziomie – mówi świeżo upieczony magister prawa Marcin Pluta:

– Pobyt w Oksfordzie był dla mnie bardzo cennym doświadczeniem. Udało mi się znaleźć pozycje książkowe, które w Polsce są po prostu nieosiągalne. Bardzo mile wspominam przysięgę składaną w języku polskim przed pracownikiem biblioteki. „Byli tu nasi” – pomyślałam. Uważam, że Polacy powinni zwrócić większą uwagę na naukowy, a nie tylko zarobkowy charakter wyjazdów za granicę – dodaje studentka KA Anna Ibek.

– Jestem bardzo zadowolona z tego, że uczestniczyłam w wyjeździe do Oksfordu. Dużo skorzystałam naukowo, ale przede wszystkim zetknęłam się z kulturą Wielkiej Brytanii – podkreśla inna studentka KA Olga Kuziorowicz.

Robert Brańka

Co z tego, że na jednym z portali możemy ocenić naszych wykładowców, poddając ich ostrej krytyce, przejechać się po ich wyglądzie, stroju, poczuciu humoru?

Ewaluacja, czyli uczelniany „totolotek”

Lupka
czyli okiem studenta

Czasy, w których przyszło nam żyć, mają szczególną cechę: jest nią niesamowita wręcz transparentność życia. Ogromną rolę pełni tu internet wraz ze swoimi portalami społecznościowymi, naszymi klasami, facebookami i twitterami.

Nie, nie jestem przeciwniczką istnienia takich portali, nie widzę nic złego w tym, że ludzie chcą się ze sobą kontaktować, wymieniać opinie, dzielić się zainteresowaniami. Także oceniające funkcje takich narzędzi mają niewątpliwie swój potencjał. To, co mnie zastanawia, to fakt, że w dobie uwielbienia dla oceniania i wartościowania wszystkiego i wszystkich nie widzimy i nie wykorzystujemy realnych możliwości oceny i idącej za nią zmiany na lepsze.

Co z tego, że na jednym z portali możemy ocenić naszych wykładowców, poddając ich ostrej krytyce, przejechać się po ich wyglądzie, stroju, poczuciu humoru? Możemy dowolnie zaprezentować swój pogląd na łatwość zaliczenia egzaminu, sposób prowadzenia zajęć. Jest także opcja pozwalająca nam ocenić, czy dany wykładowca przekazuje nam treści w sposób zrozumiały, przystępny, łatwy do zapamiętania.

Nadal jednak pytam: co z tego wynika? Ano – nic. Nikt absolutnie nie traktuje poważnie takich stron internetowych. Według mnie służą one głównie temu, by „klikający” poczuł jakąś satysfakcję, że mógł „dowalić” jednemu profesorowi, z którym akurat ma na pieńku, a skomplementować innego. Zabawa równie głupia, co bezcelowa i nieprzynosząca żadnych wymiernych efektów.

Cały powyższy akapit mógłby sugerować, że wykładowcy to nietykalni guru, których oceniać nie wolno,

że sama chęć poddania ocenie kogoś z drugiej strony katedry zakrawa na świętokradztwo. To jednak sugestia mylna. Jest bowiem sposób na ocenę naszych wykładowców i to o niebo skuteczniejszy niż wyżywanie się na portalach. Takim sposobem jest przeprowadzana na wszystkich uczelniach doroczna ewaluacja, czyli właśnie ocena poziomu kształcenia.

Z pewnością każdy z Was zetknął się z wypełnianymi (niestety, zazwyczaj tuż przed egzaminem) różnymi formularzami, zwanymi potocznie „totolotkami”. Ankiety te są anonimowe, można zatem w sposób całkowicie bezpieczny wyrazić swoją opinię na temat wykładowcy. Anonimowość ma jednak również wady – ponieważ nikt nie jest w stanie sprawdzić, co który student zaznaczył, wiele osób biorących udział w ewaluacji nie traktuje jej poważnie.

Co odróżnia uczelniane „totka” od portalu internetowego? Przede wszystkim to, że wyniki ewaluacji mają realny wpływ na oceny uzyskane przez poszczególnych wykładowców, a co za tym idzie – również na jakość kształcenia w danej placówce. Dlatego, w trosce o nasze własne dobro, powinniśmy potraktować ewaluację serio. Może spróbujemy oceniać naszych wykładowców tak, jak sami chcielibyśmy być oceniani – uczciwie, z namysłem i rzetelnie.

Dorota

Zdechlikiewicz

Lotto

twoje liczby:

1	[1]	[2]	[3]	[4]	[5]	[6]	[7]	[8]	[9]	[10]	[11]	[12]	[13]	[14]	[15]	[16]	[17]	[18]	[19]	[20]	[21]	[22]	[23]	[24]	[25]	[26]	[27]	[28]	[29]	[30]	[31]	[32]	[33]	[34]	[35]	[36]	[37]	[38]	[39]	[40]	[41]	[42]	[43]	[44]	[45]	[46]	[47]	[48]	[49]	[50]
2	[1]	[2]	[3]	[4]	[5]	[6]	[7]	[8]	[9]	[10]	[11]	[12]	[13]	[14]	[15]	[16]	[17]	[18]	[19]	[20]	[21]	[22]	[23]	[24]	[25]	[26]	[27]	[28]	[29]	[30]	[31]	[32]	[33]	[34]	[35]	[36]	[37]	[38]	[39]	[40]	[41]	[42]	[43]	[44]	[45]	[46]	[47]	[48]	[49]	[50]
3	[1]	[2]	[3]	[4]	[5]	[6]	[7]	[8]	[9]	[10]	[11]	[12]	[13]	[14]	[15]	[16]	[17]	[18]	[19]	[20]	[21]	[22]	[23]	[24]	[25]	[26]	[27]	[28]	[29]	[30]	[31]	[32]	[33]	[34]	[35]	[36]	[37]	[38]	[39]	[40]	[41]	[42]	[43]	[44]	[45]	[46]	[47]	[48]	[49]	[50]
4	[1]	[2]	[3]	[4]	[5]	[6]	[7]	[8]	[9]	[10]	[11]	[12]	[13]	[14]	[15]	[16]	[17]	[18]	[19]	[20]	[21]	[22]	[23]	[24]	[25]	[26]	[27]	[28]	[29]	[30]	[31]	[32]	[33]	[34]	[35]	[36]	[37]	[38]	[39]	[40]	[41]	[42]	[43]	[44]	[45]	[46]	[47]	[48]	[49]	[50]
5	[1]	[2]	[3]	[4]	[5]	[6]	[7]	[8]	[9]	[10]	[11]	[12]	[13]	[14]	[15]	[16]	[17]	[18]	[19]	[20]	[21]	[22]	[23]	[24]	[25]	[26]	[27]	[28]	[29]	[30]	[31]	[32]	[33]	[34]	[35]	[36]	[37]	[38]	[39]	[40]	[41]	[42]	[43]	[44]	[45]	[46]	[47]	[48]	[49]	[50]
6	[1]	[2]	[3]	[4]	[5]	[6]	[7]	[8]	[9]	[10]	[11]	[12]	[13]	[14]	[15]	[16]	[17]	[18]	[19]	[20]	[21]	[22]	[23]	[24]	[25]	[26]	[27]	[28]	[29]	[30]	[31]	[32]	[33]	[34]	[35]	[36]	[37]	[38]	[39]	[40]	[41]	[42]	[43]	[44]	[45]	[46]	[47]	[48]	[49]	[50]
7	[1]	[2]	[3]	[4]	[5]	[6]	[7]	[8]	[9]	[10]	[11]	[12]	[13]	[14]	[15]	[16]	[17]	[18]	[19]	[20]	[21]	[22]	[23]	[24]	[25]	[26]	[27]	[28]	[29]	[30]	[31]	[32]	[33]	[34]	[35]	[36]	[37]	[38]	[39]	[40]	[41]	[42]	[43]	[44]	[45]	[46]	[47]	[48]	[49]	[50]
8	[1]	[2]	[3]	[4]	[5]	[6]	[7]	[8]	[9]	[10]	[11]	[12]	[13]	[14]	[15]	[16]	[17]	[18]	[19]	[20]	[21]	[22]	[23]	[24]	[25]	[26]	[27]	[28]	[29]	[30]	[31]	[32]	[33]	[34]	[35]	[36]	[37]	[38]	[39]	[40]	[41]	[42]	[43]	[44]	[45]	[46]	[47]	[48]	[49]	[50]
liczba losowa:	[1]	[2]	[3]	[4]	[5]	[6]	[7]	[8]	[9]	[10]	[11]	[12]	[13]	[14]	[15]	[16]	[17]	[18]	[19]	[20]	[21]	[22]	[23]	[24]	[25]	[26]	[27]	[28]	[29]	[30]	[31]	[32]	[33]	[34]	[35]	[36]	[37]	[38]	[39]	[40]	[41]	[42]	[43]	[44]	[45]	[46]	[47]	[48]	[49]	[50]
zagraj systemem:	[1]	[2]	[3]	[4]	[5]	[6]	[7]	[8]	[9]	[10]	[11]	[12]	[13]	[14]	[15]	[16]	[17]	[18]	[19]	[20]	[21]	[22]	[23]	[24]	[25]	[26]	[27]	[28]	[29]	[30]	[31]	[32]	[33]	[34]	[35]	[36]	[37]	[38]	[39]	[40]	[41]	[42]	[43]	[44]	[45]	[46]	[47]	[48]	[49]	[50]

**„Jestem hazardzistą, potrzebuję Twojej pomocy.
Ja już wystarczająco nienawidzę siebie...”**

w pułapce swojej bezsilności

Granie to ich pasja – potrafią całymi godzinami trwonić zarobione pieniądze, nie zawahają się nawet, by okraść swoich bliskich, aby móc poczuć tę niesamowitą nutę adrenaliny. Inni ćwiczą całymi dniami, siłownia to ich drugi dom.

Wielu z nich oprócz legalnych odżywek stosuje sterydy lub inne substancje pomagające w tworzeniu idealnego ciała. Współczesny świat zna ich coraz więcej – już nie są to tylko narkomania czy alkoholizm, ale również anoreksja, tanoreksja, seksoholizm oraz wiele innych, które łączą się zawsze w jedno słowo: uzależnienie.

Według statystyk przeprowadzanych corocznie przez specjalistyczne ośrodki leczenia uzależnień liczba osób chorych ciągle rośnie. Nie ma tak naprawdę jednego złotego środka, który mógłby pomóc lub zapobiec uzależnieniom.

Wielu badaczy twierdzi, że w powstawaniu uzależnień ważną rolę odgrywa czynnik genetyczny. Biorąc pod uwagę na przykład alkoholizm, głównym czynnikiem pozostaje indywidualna skłonność do popadania w nałogi, stres, kryzysy w życiu, sytuacja społeczna czy też zaburzenia emocjonalne. Inaczej dzieje się w przypadku uzależnień od narkotyków – przyczyn upatruje się przede wszystkim w braku zaspokajania potrzeb, chłódzie i obojętności rodziców, samotności dziecka – brakuje norm i zasad, którymi powinno się kierować w życiu.

Inną grupą uzależnień, której nie można pominąć, są anoreksja, bulimia i tanoreksja będące skutkiem kultu pięknej sylwetki. Zmieniają-

ce się trendy w modzie i wyglądzie zmuszają jednostkę do dostosowania się do wymogów danej epoki. Obecna moda to przede wszystkim szczupła sylwetka, ładne regularne rysy, stylowy manicure, opalenizna, ale w szczególności dobrze dobrane ubranie.

Aby utrzymać piękną sylwetkę i zgrabny wygląd, potrzeba nie lada wyrzeczeń, począwszy od morderczych treningów na siłowni, a w skrajnych przypadkach kończąc na głodówce, która może doprowadzić do anoreksji. U osoby chorej występują zaburzenia w odżywianiu skłaniające ją ciągle do ograniczenia przyjmowania jakichkolwiek pokarmów.

Inną formą promowania idealnej sylwetki bywa piękna opalenizna. Tanoreksja jest chorobą osób, które ciągle chcą udoskonalać kolor skóry poprzez przebywanie na solarium lub bezpośrednio na słońcu. Mają oni uczucie, że ich skóra jest blada. Mimo maksymalnej opalenizny tanorektyk uważa, że ciągle może ją udoskonalać i wzmacniać. Problem ten dotyczy zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Wyidealizowany obraz pięknego ciała promowany w środkach masowego przekazu powoduje, że osoby przyglądając się swojemu odbiciu, zaczynają postrzegać siebie jako coś mało atrakcyjnego. Czują się niedowartościowane, a przez to gorsze. Nie akceptują siebie takimi, jakimi są, i za wszelką cenę chcą „naprawić” to, co w nich jest nie do przyjęcia, przez jakże „doskonały” świat.

Cechą łączącą anoreksję, bulimię i tanoreksję jest skrzywiony obraz własnej sylwetki, nadmierne skupienie jednostki nad promowa-

niem idealnego „ja”, wyścig za nieodpartym pięknem i doskonałością. Ostatnio na jednym z forów internetowym moją uwagę przykuł list jakiegoś hazardzisty:

„Jestem hazardzistą, potrzebuję Twojej pomocy. Nie pozwól wywołać u Ciebie złości. Jeśli zaatakujesz mnie słownie lub fizycznie, będziesz mnie upewniała tylko w złej opinii, jaką mam o sobie. Ja już wystarczająco nienawidzę siebie”.

Niewielu z nas zdaje sobie sprawę z tego, że hazard to nie tylko wiele możliwości rozrywki takich jak poker czy kasyna. Co ciekawe, wielu badaczy, psychologów czy opiniotawców twierdzi, że uzależnienie od hazardu nigdy nie pozostaje w stu procentach wyleczalne – możliwe bywa tylko jego zatrzymanie. Uprawiający hazard świadomie, mimo braku kontroli nad biegiem wydarzeń, zawierają ślepemu losowi ostateczny wynik, z nadzieją, że będzie on dla nich korzystny.

Istnieje wiele innych uzależnień, których liczba rośnie, jednak nie są one tak nagłaśniane i tak popularne. Jednym z nich pozostaje siecioholizm, czyli uzależnienie od internetu.

Według jednego ze specjalistów od terapii uzależnień narkotykowych „Liczba osób uzależnionych od internetu przekracza w niektórych państwach uprzemysłowionych liczbę uzależnionych od narkotyków i jest konieczne podjęcie kroków przeciwko tej nowej chorobie”. Jeśli zbyt często łączymy się z internetem i nie uważamy tego za problem, warto przemyśleć to jeszcze raz. Ze względu na anonimowość internautów badania nad tym zjawiskiem są mocno utrudnione, a jeśli chodzi

o metody leczenia takiego uzależnienia, to nie istnieje w tym momencie żadna fachowa poradnia czy terapia.

Od kilkunastu lat coraz częściej dociera do nas nowe słowo związane z uzależnieniem od seksu. Przez wielu z nas używane żartobliwie określenie „erotoman” w metodologii naukowej bywa zastępowane wyrazem *seksologizm*. Reakcje na nową chorobę są różne, ponieważ trudno w nią uwierzyć. Mimo że stosunek do tej sfery życia zmienia się na bardziej otwarty, w naszej kulturze seks jest tematem tabu. Brnąc dalej w analizę tego problemu, łatwo stwierdzić, że uzależnić można się właściwie od wszystkiego i wszędzie. Być może jest to związane z chęcią ucieczki od codziennych problemów i przeciwności losu lub poszukiwanie nowych doznań i przyjemności. Niewątpliwie w tym wypadku przyczyny są kwestią indywidualną.

Jak rzucić nałóg? W zależności od rodzaju uzależnienia istnieje wiele metod, które mogą pomóc w codziennym zmaganiu się z nałogiem. Jedne są bardziej popularne, inne mniej, jednak każdy sposób wydaje się dobry, jeśli tylko przybliży nas do zwycięstwa. Są to przede wszystkim terapie psychologiczne. W większych miastach odbywają się na zasadzie seminariów terapeutycznych leczenia farmakologiczne, detoksykacje oraz terapie ukierunkowane na abstynencję. Każde uzależnienie ujawnia się w momencie, gdy jego uprawianie powoduje różnego rodzaju życiowe problemy, mimo to nie prowadzi do zaprzestania prowadzenia tej czynności.

Każdy nałóg ma swoje przyczyny, fazy przebiegu i skutki. We wszystkie są zamieszani nie tylko sami uzależnieni, ale również ich rodziny, bliscy i znajomi. Istnieje wiele ośrodków, miejsc wsparcia, portali internetowych poświęconych pomocy dla osób chorych i ich rodzin. Niestety, statystyki są nieubłagane – liczba uzależnień rośnie. Co możemy zrobić? Jak pomóc? Może w Twoim środowisku jest ktoś, kto w samotności boryka się ze słabościami? Twoja pomocna dłoń może wiele zmienić...

Wioleta Żelasko

Macierzyństwo podczas studiów nie jest łatwe. Godzenie opieki nad małym dzieckiem z obowiązkami na uczelni wymaga wiele trudu i rezygnacji z beztroskiego „żakowania”. A jednak co piąta studentka zachodzi w ciążę...

Pech czy szczęście? Szczęście!

✓ Jeszcze nie tak dawno widok studentki w ciąży stawał się powodem do plotek. Osobę taką wytykano palcami, ośmieszano, spychano wręcz na margines społeczny. Ciąża w młodym wieku, bez ślubu, przypadkowa budziła szok, uznawano ją po prostu za niedopuszczalną.

Czasy się jednak zmieniły. Młode dziewczyny nie obawiają się już tak bardzo społecznego ostracyzmu. Dziś prawie co piąta studentka zachodzi w ciążę. Jednak w dalszym ciągu otwarte pozostaje pytanie, czy jesteśmy w stanie bez uprzedzeń i niepotrzebnych komentarzy zaakceptować osobę ciężarną na uczelni. Z jakimi reakcjami spotykają się młode matki i czy rzeczywiście studenckie macierzyństwo jest bezproblemowe? **Czy czas studiów to najlepszy moment na rodzenie dzieci?** Jak to jest, kiedy beztroskie życie studenckie, imprezy, spotkania z przyjaciółmi trzeba zamienić na pieluchy i zarywanie nocy?

Dziecko wymaga od młodej matki wielkiego poświęcenia i zaangażowania. Mały człowiek nie jest zabawką, którą da się odłożyć w kąt, kiedy tylko zapagniemy. Gdy pojawia się na świecie, nasze życie zmienia się o 180 stopni. W tym momencie przestajemy być odpowiedzialne wyłącznie za siebie.

Koleżanki z uczelni, patrząc na ciężarną dziewczynę, reagują różnie. Jedne okazują jej życzliwość, pomagają oraz otaczają opieką. Dla innych

jej sytuacja staje się powodem do współczucia. W najgorszym wypadku przyszła mama jest obiektem kąśliwych uwag i tematem do plotkowania. W takim przypadku często czuje się ona zagubiona i zdezorientowana. Trudno jest bowiem udawać, że nie słyszy się złośliwych szeptów i nie widzi tych wszystkich „życzliwych” min.

Ponieważ sama jestem młodą mamą, wiem, z czym musisz się zmierzyć, droga Koleżanko, jeśli na studiach zaszłaś w ciążę. Ale nie daj się zwariować! Jeśli zajdziesz w ciążę, pamiętaj, że znajdujesz się w najpiękniejszym stanie, jaki możesz sobie tylko wyobrazić.

Masz obawy, jak pogodzisz wykłady, egzaminy z wychowaniem małego dziecka? Nie załamuj się, to ostatnia rzecz, którą powinnaś teraz zrobić! Pamiętaj, że nie ma sytuacji bez wyjścia, a wszystkiemu w życiu da się jakoś zaradzić. Wykorzystaj każdą chwilę, kiedy Twój maluch śpi, by poświęcić ją na naukę czy inne obowiązki. **Bądź dumna, że zostałam mamą, nawet jeśli czujesz się za młoda na macierzyństwo.** Okres ciąży to nie żałoba, ale wręcz przeciwnie – moment, w którym należy cieszyć się życiem.

Podobne rozterki miałam i ja. Z perspektywy czasu wiem jednak, że warto było doczekać chwili, kiedy na świat przyszło moje małe dziecko. Nie żałuję niczego i nie zamieniłabym tego stanu rzeczy na wejściówkę do najlepszego klubu. Nie warto!

Katarzyna Kurdziel

Uwaga, babka za

Kiedy wyjeżdżają poza miasto, ślimaczą się, sprawiają trudności, robią dziwne i nieprzewidywalne manewry

Koleżanka często mówi, że łatwiej być blondynką. I z pewnością ma rację. Wystarczy zrobić dobrą minę, udać zakłopotanie, poprosić grzecznie o pomoc i gotowe – wiem, bo wypróbowałam. Co prawda, już nie jestem blond, ale to naprawdę działa. Choć w moim przypadku takie zachowanie przyszło mi z wielkim trudem i tylko na próbę: trochę dla żartu, trochę dla sprawdzenia, czy jest w tym ziarno prawdy, to i tak potem śmiałam się sama z siebie i z innych.

Od czasu gdy mam swój naturalny (ciemny) kolor włosów, zauważyłam, że wiele rzeczy idzie mi o wiele trudniej. Nie ulega jednak wątpliwości, że mężczyźni bardziej szanują brunetki. No, może co nieco przesadziłam z tym szacunkiem, jednak panowie bardziej się liczą z naszym zdaniem, gdy nie wyglądamy jak lalka Barbie.

Szkoda, że kobiecy urok nie działa na fotoradar...

Właśnie dostałam sześć punktów karnych i 300 zł mandatu. Dodatkowo nie ma z kim podyskutować, bo blankiet przychodzi pocztą, a któż z nas chciałby sobie komplikować życie i odmawiać uiszczenia zapłaty? Może to zabrzmiało idiotycznie, jednak i tak – mimo tak dużej sumy – obawiałam się, że kara może być dwa razy większa, bo zdjęcie zrobiono mi w terenie zabudowanym, i byłoby do tego podstawy, gdyż prędkość dozwolona wynosiła 70 km/h, a ja jechałam 101 km/h.

Prawda jest taka, że nie należę do piratów drogowych – przynajmniej tak mi się wydaje. Chyba każdy mając pustą drogę i widząc z daleka zielone światło, docisnąłby gaz, żeby zdążyć przed zmia-

ną świateł. To trochę niesprawiedliwe, że radar stawia się właśnie w takim miejscu, tuż za światłami. Nie mogę sobie zarzucać, że nie dostrzegłam znaku; widziałam go i nawet rozumiem, dlaczego tam stoi. Jednak zielone światło wpływa na nas tak bardzo podświadomie, że trudno nam nad tym zapanować, chociaż powinniśmy się wstrzymać przed pokusą.

Tym trudniej jest mi to zrozumieć, gdyż fotkę zrobiono mi na trasie Kraków – Warszawa, w dodatku tam, gdzie droga jest czteropasmowa. Ale pogodziłam się z tą karą i pokornie przyznaję się do winy. Po ostatnich wydarzeniach, jakie spotkały nasz kraj, odbieram to jako sygnał i ostrzeżenie.

Kobiety bardzo często denerwują mnie na drodze...

... i wtedy zgadzam się w myślach z opinią o kobiecie za kierownicą (oczywiście jak wszędzie są wyjątki). Ślimaczą się, sprawiają trudności, robią dziwne i nieprzewidywalne manewry. Nie patrzą w lusterka, blokują pas ruchu przy zwężeniach na drodze zamiast jechać do samego końca. Z dużym opóźnieniem ruszają na zielonym świetle. A dodatkowo jeżdżą lewym pasem ruchu, blokując szybsze pojazdy. Parkują bardzo chaotycznie i z dużymi odstępami.

Jeśli nie wierzysz, przyjrzyj się i zobacz, co się dzieje. Niektóre kobiety nie potrafią nawet korzystać ze znaków drogowych, aby trafić do celu. Kiedyś widziałam jedną panią, która zawróciła tuż po zjeździe na autostradę A4. To było nieprawdopodobne przeżycie, pakowała się pod prąd, jadąc na estakadę! Nie wierzyłam własnym oczom. A przecież nawet jeśli źle zjechała, mogła dojechać na lotnisko i spokojnie zawró-

cić, niż zagrażać samej sobie i innym.

Innego dnia zauważyłam blondynkę, która parkując, rozwalila zderzak sobie i jeszcze dwóm innym pojazdom, bo po uderzeniu natychmiast, pełną parą cofnęła. Uświadomiłam sobie wtedy, że nie wszyscy myślą logicznie, że niektórzy panikują i popełniają karygodne błędy. Sama pamiętam, jak po ciężkim dniu pracy, w środku nocy, popełniłam podobny do pierwszej kobiety błąd i ocknęłam się na bramkach prowadzących do Katowic, zamiast zjechać wcześniejszym zjazdem. Pamiętajmy więc, że zawsze możemy poprosić obsługę, by otworzyli dla nas boczny szlaban, nie bójmy się otwarcie powiedzieć, że popełniliśmy błąd.

Często słyszymy, że to takie stereotypowe gadanie...

... że jednak kobiety są dobrymi kierowcami. Nie chciałabym generalizować, bo znam naprawdę kilka dziewczyn, które świetnie sobie radzą, to jednak jako użytkownik dróg publicznych mogę raczej powiedzieć, że jest więcej trudności z kobietami na drodze niż pożytku. Nie ulega wątpliwości, że ich trasy ograniczają się do jazdy po mieście, od przedszkola do domu bądź z pracy do marketu. Panie częściej wożą ze sobą dzieci, więc nie ma w sumie co się dziwić, że starają się być bardziej uważne od mężczyzn.

Kiedy jednak ruszają za miasto, robi się prawdziwy obrazek tego, jakimi jesteśmy kierowcami. Dość często obserwuję popisy bardzo młodych osób, a to – proszę mi wierzyć – widać

kierownica...

choćby przy zmianie biegów, bo pojazd w takim momencie chwieje się na boki, bądź po sposobie jazdy. A panie, według mnie, za bardzo pragną pokazać, że należą do tej elity „kobiety za kółkiem”, i zazwyczaj chcą to udowodnić, zwiększając prędkość. Gdybyśmy pozbyli się brawury na drodze, świat stałby się o wiele bezpieczniejszy... To dotyczy nie tylko kobiet.

Kierownica nie jest miarą naszego ego

I nigdy nie będzie. Nie pozwólmy więc ulec wrażeniu, że za kierownicą mamy siłę i władzę, jakiej nie mamy w naszym realnym życiu. Nie starajmy zrekompensować sobie stłumionej złości, nie eksponujmy naszej arogancji na ulicy. Starajmy się wtopić w społeczeństwo, zrozumieć, że nie jesteśmy sami, że zawsze będą lepsi i gorsi. Zawsze będą nowsze i szybsze pojazdy od tego, który sami posiadamy. Ci, którzy sądzą, że sami wiedzą lepiej, że są w stanie przechytrzyć policję poprzez CB radio, nie chcą chyba zrozumieć, że oni też nie są nieśmiertelni. Jednak gdy dojdzie do tego najgorszego, będzie już o wiele za późno, by dumę i wyścig powstrzymać drogą rozsądku.

Może dlatego naprawdę warto kiedyś porządnie się nad tym zastanowić. Przepuśćmy więc pieszych na przejściu, skupmy się na tym, co robimy, by nie blokować drogi. Bądźmy uprzejmi i postarajmy się sobie wzajemnie ustępować miejsca. Często, gdy pada deszcz, przepuszczam wszystkich pieszych, którzy na ślepo biegną, by udać się na przystanek, aby po prostu już nie moknąć. Bądźmy przewidywalni, to bardzo ludzkie odruchy. Nie pozwólmy, aby zawładnęła nami obojętność na losy drugiego człowieka.

W trasie niejednokrotnie spędzam więcej czasu niż za biurkiem w firmie

Taką mam pracę i nawet jeśli zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo podwyższa to ryzyko popełnienia błę-

du na drodze bądź po prostu pecha, że to ktoś popełni błąd i wjedzie w mój samochód, to bardzo ją lubię. Bywają lepsze i gorsze dni, mniej lub bardziej zakorkowane drogi. Jednak kiedy zaczynasz jeździć i zapuszczać się w głąb Polski czy Europy, zaczynasz kalkulować czas, by jak najwcześniej wrócić do domu, wybierając szybsze trasy, mniej oblegane stacje benzynowe, rezygnujesz z obiadu w ciągu dnia, by ominąć godziny szczytu – oczywiście wszystko w granicach rozsądku.

Często wyjazd jest dla mnie relaksem, poznaję nowych ludzi i odnoszę wrażenie, że lepiej spostrzegam świat. Mogę się wtedy oderwać od codziennych problemów i spędzić mile chwile, słuchając muzyki. To mężczyźni w większości przypadków częściej potrzebują zmiany otoczenia i lubią tak gnać przed siebie, czasem żartuję z przyjaciółką, że to ich nowoczesne rumaki. Ale taka jest prawda, świat stał się bardziej nowoczesny i zmieniły się oczekiwania „pięknej” – mężczyzna stara się sprostać wyzwaniu. Faceci po prostu lubią mieć wiatr we włosach, jechać do przodu na spotkanie z przygodą.

Jak pisze John Eldredge w swojej książce: *„Mężczyzna ma dzikie serce”* – tęskni za pasją, wolnością, za życiem. Polecam szczególnie tym, którzy szukają odpowiedzi, by odnaleźć drogę do własnego serca. Taka literatura jest dobra również dla kobiet, pomaga zrozumieć to, co czasem trudne do pojęcia.

Najwięcej słucham radia w samochodzie...

... ale skupiam się głównie na muzyce i gdy zaczynają się rozmowy np. o polityce, to zmieniam stację w obawie przed tym, że rozmowa skieruje się na rzeczy bardziej emocjonujące. W takiej chwili najłatwiej popełnić błąd na drodze, a nie chcę ryzykować. Unikam wiadomości nie dlatego, że ich nie lubię (bo codziennie oglądam dziennik telewizyjny), tylko dlatego, że obserwuję zachowania ludzi i staram się wyciągać wnioski. Nawet jeśli mamy podzielną uwagę, to każdy kierowca wie, że mając roześmianą załogę na „pokładzie”, jedzie się o wiele

gorzej. Odkryłam to ostatnio podczas warsztatów radiowych na uczelni, kiedy omawialiśmy szczegółowo stacje radiowe. Nie potrafiłam przypomnieć sobie, jaki konkursy w nich występują, nie pamiętałam nazwisk prowadzących audycje. Już wiem po prostu, do jakich słuchaczy należę, i wiem też, jakie granice sobie stawiam.

Jak na kobietę o kierownicy i samochodzie wiem naprawdę dużo i często zdarza mi się, że to moi koledzy dzwonią do mnie po drobne porady. Jednak tam, gdzie pozostaję anonimowa, traktuje się mnie jako typową babę. Chyba nie ma się co dziwić, bo właśnie taki obrazek jest wpisany w naszą polską rzeczywistość. Wydaje mi się, że nie ma sensu z tym walczyć (to jak walka z wiatrakami). Po prostu bądźmy sobą – wymagajmy sami od siebie. Rozśmiesz mnie afiszowanie breloczkami od kluczy pewnej grupy ludzi. Rozbawia do łez czyszczenie kolpaków szczoteczką do zębów i pucowanie auta na glanc w każde sobotnie popołudnie.

Niektórzy, rozumiem, mają w tym swoją pasję i takich ludzi, głównie mężczyzn, potrafię zrozumieć, bo panie pucują w domu swoje ulubione kieliszki i przesadzają kwiatki. Ale niektórzy robią to tylko po to, by podkreślać pozycję społeczną, pokazać stan majątkowy (nie ma w tym nic z pasji). Właśnie takich użytkowników dróg bardzo się boję, bo to oni wymuszają pierwszeństwo i szarżują nawet na zakręcie z podwójną ciągłą. Mają zbyt mocne i zbyt dobre samochody (jak to się mówi jadą, ile fabryka dała). To oni stanowią tak wielkie zagrożenie i są początkiem konfliktu z naszymi europejskimi sąsiadami (np. Czechami). Dbajmy o to, by przetrwać, by nie stanowić zagrożenia, by bezpiecznie wrócić do domu – uczmy się tego każdego dnia.

Fanom motoryzacji polecam „Motolistę” w Radiu „Frycz”, którą prowadzą moi koledzy z roku: Oskar Langner i Bartek Remin. Pamiętam też, jak kiedyś usłyszałam od Oskara, że dobrze prowadzę – to był prawdziwy komplement i pamiętam go do dziś, bo kto jak kto, ale on naprawdę na tym się zna.

Weronika Hetko

Choreodram,

zapomniana forma teatralna

„Lekcja tańca” skłania do refleksji nad sytuacją tańca, na nowo próbuje usytuować go w hierarchii sztuk

Drugi pochodził stąd. Nigdzie nie musiał wyjeżdżać, by zostać artystą. Nazywa się Zygmunt Konieczny i uchodzi za „wesołego kompozytora smutnych piosenek”. Debiutował w „Piwnicy pod Baranami” i przez kilka lat był jego jedynym, profesjonalnym kompozytorem. Stworzył muzykę do tekstów wybitnych poetów polskich i obcych, arcydzieł interpretowanych przez wielu wykonawców, z których najbardziej znana jest Ewa Demarczyk.

Trzecią osobą, dużo młodszą, byłem ja, Maciej Saskowski, ciechanowianin. Parę lat wcześniej musiałem uciekać z Warszawy, gdyż jako tancerz tradycjonalista, nie miałem w stołecznym blichtrze czego szukać. Słyszę czasem o sobie: „to rozważny, zdyscyplinowany intelektualnie i ruchowo artysta, dopiero tworzący osobny rozdział w historii tańca. Uzbrojony w bardzo cenny dar, wrażliwość, dzięki której potrafi odnaleźć piękno w sztywnych regulach tańca”.

Owa na pozór niedobrana trójka obcych sobie ludzi dopełniała się wzajemnie na zasadzie przyciągania się przeciwieństw. W strasznych dla tańca

czasach, w których przyszło im tworzyć, gdy sztuka ta z żywego srebra stała się żetonem do wesołego miasteczka, ich drogi schodziły się i rozchodziły.

Wbrew modzie i wymogom masowej publiczności, wspólnie z Ewą Łukasik-Tokarz, dyplomowaną tancerką baletową i tańca towarzyskiego, traktującą swój fach jak laboratorium, nieprzejmującą się technikami, stosującą własne ruchy, łączącą kroki, których łączyć nie należy, odważnie poszukującą swojej wizji choreograficznej i nowych sposobów wyrażania się poprzez taniec, postanowili stworzyć „Lekcję tańca”, na pozór staroświecką, a jednocześnie ponadczasową historię opowiedzianą zapomnianą formą teatralną – choreodramem.

Źródłem inspiracji spektaklu nie jest rywalizacja o sławę czy zabiegi o uznanie widza, które mogłyby być zapowiedzią amerykańskiego „wyścigu szczurów”, lecz lęki i frustracje wynikające z poczucia upływającego czasu i tanecznej formy. Prawdziwy krajobraz egzystencjalny tancerza jest dużo bardziej skomplikowany, niż ten, podawany przez media. Niejednokrotnie w sali prób dochodzi do dramatycznych wydarzeń, stanowiących skuteczną przeciwwagę dla roześmianych twarzy telewizyjnych gwiazd tańca.

Rozdrażnieni stereotypem tanecznego szczęścia, który kultura popularna wywiodła z małżeństwa reality show z teatralną sceną, pytają o dzisiejsze miejsce tancerza na scenie. Skłaniają do refleksji nad sytuacją tańca, na nowo próbują usytuować go w hierarchii sztuk.

Historia „Lekcji tańca” zaczęła się w Krakowie trzy lata temu. W kawiarni na Rynku Głównym spotkało się trzech ludzi, na pozór kompletnie do siebie niepasujących. Pierwszy, potężnie zbudowany jegomość w dojrzałym wieku nazywał się Tomasz Gołębiowski. Parędziesiąt lat wcześniej wyjechał z rodzinnej Łodzi i jako zawodowy tancerz solista i choreograf objechał Polskę i świat. W 1973 roku zdobył „Grand Prix” w Ogólnopolskim Konkursie Choreograficznym, a trzy lata później został kierownikiem baletu, pedagogiem i choreografem Krakowskiego Teatru Muzycznego Opery i Operetki. W Krakowie mieszka do dzisiaj.

the CouchSurfing project



Okazuje się, że można podróżować po świecie i nie zapłacić za nocleg nawet złotówki

Warto zostać couchsurferem

Wytrącając widza z jego przyzwyczajeń, artyści składają zarazem ukłon w stronę tradycji, a równocześnie próbują wykroczyć poza nią, czyniąc ją czytelną dla współczesnych odbiorców. Zmuszając widownię do wysiłku intelektualnego, przeciwstawiają klasyczną tradycję, której daleko do porzucenia gorsetu przyzwyczajeń, formom popularnym, fascynującym energią, miękkością, gibkością. Pytanie „jak” poprzedzają pytaniem „co”, gdyż zazwyczaj ci, którzy zbyt wiele czasu poświęcają na technikę tańca, kiedy już staną na scenie, nie bardzo wiedzą, co począć.

Fabula spektaklu rozgrywa się gdzieś w małej sali prób, gdzie wśród luster i obok drążka do ćwiczeń trwa sławny i doświadczony choreograf. Czas odmierzają mu pospół dzwonki rozpoczynających się lekcji i kolejni uczniowie przewijający się przez jego królestwo tańca. W spokojne życie mistrza wkracza ona – młoda, piękna, piekielnie utalentowana osobka realizująca taniec na swój sposób i stosownie do własnych marzeń o ideale tej sztuki. Nieuchronnie dochodzi do zderzenia ich odmiennych percepcji wspólnej pasji. Gest staje się rytuałem, światło i drgający emocjami cień, ruch, muzyka i cisza opowiadają ich historię niemal w sposób hipnotyczny, konsekwentnie magiczny, niepokojący umysł i rozbudzający wyobraźnię.

Czy bezpieczna, zawczasu ułożona choreografia Mistrza przetrwa do końca lekcji? Czy będzie on umiał wyjść naprzeciw pragnieniom i uwolnić się ze sztywnego gorsetu reguł i praw, które sam narzucał sobie od lat? Czy największe, najodważniejsze uniesienia skazane są na życie jedynie w naszych umysłach, marzeniach? Jakim prawem tak autentycznie i prosto w twarz ktoś ośmiela się nam to wypomnieć? Dlaczego tak wyraźnie zostało to skierowane właśnie do nas? I dlaczego jest tak bardzo o nas...

Maciej Saskowski

Logujesz się na stronie internetowej www.couchsurfing.org, która ma zasięg ogólnosiwiatowy, i dzięki temu poznajesz ludzi rozsianych po całym globie. Dzisiaj jest już 1,5 miliona osób zarejestrowanych. Założyły one profile, w których zamieszczają informacje o sobie, swoich zainteresowaniach i o tym, co mogą zaoferować potencjalnym gościom, na jak długo i czego w zamian oczekują.

Nigdy nie są to jednak pieniądze. Couchsurferzy, którzy oferują lokum, chcą jedynie nawiązywać nowe znajomości, dlatego proszą gości, by nie traktowali ich domu jak darmowego hostelu. Użytkownicy serwisu wybierają, kogo chcą przenocować, a kogo nie. Każdy może odmówić bez podania powodu. Jednak większość chętnych zostaje przyjmowana, a 99 proc. ludzi jest bardzo zadowolonych ze swojego pobytu.

Couchsurferzy to ludzie otwarci na innych, pragnący poznawać inne kultury oraz nawiązywać nowe znajomości i przyjaźnie. Dlatego też należy prosić o nocleg tych, którzy mają podobne do nas zainteresowania, po to, by później nawiązać dobre i bliższe relacje.

Obowiązuje niepisana zasada, by zabrać jakiś podarunek dla gospodarza, najlepiej jeśli będzie to pamiątka z naszego miasta czy regionalne słodycze. Dzięki temu wspólne więzi nawiążą się w miłej i przyjacielskiej atmosferze.

Couchsurferzy nie tylko zapewniają nam lokum, ale również pokazują miasto i zabierają na lokalne imprezy. Dzięki takim przewodnikom poczujemy

Couchsurfing.org to strona internetowa założona na przełomie 2002 i 2003 roku przez Amerykanina Caseya Fentona, dzięki której można zaoferować darmowe zakwaterowanie lub znaleźć użytkowników oferujących nocleg we własnym domu czy mieszkaniu w wielu zakątkach świata. Couchsurfing to dosłownie (z ang.) 'buszowanie w internecie w celu znalezieniu dowolnego miejsca do spania w obcym miejscu na świecie, „kanapy”, którą może być zarówno luksusowa sypialnia, jaki skrawek podłogi w starej chacie. Couchsurfing.org działa jako organizacja non-profit.

prawdziwy klimat zwiedzanego miejsca. Gospodarze to najlepsi doradcy, podpowiedzą, co należy zwiedzić, a co ominąć, gdzie dobrze i tanio zjeść lokalne przysmaki. Pokażą magiczne zaułki, do których byśmy nie zawitali, jadąc z biurem podróży.

Zatem nasuwa się jeden wniosek: dzięki couchsurfingowi możemy mile spędzić czas, zwiedzić miejsca w najodleglejszych zakątkach świata, poznać inną kulturę, zobaczyć to, czego inni turyści nawet nie znajdują, oraz poznać wspaniałych, pełnych pasji ludzi. Cóż, nie pozostaje zatem nic innego jak tylko się zalogować.

Magdalena Nowak

Teleściema, czyli na co chorują polskie seriale?

Paradoks polega na tym, że mało kto otwarcie przyznaje się do sympatyzowania z rodziną Mostowiaków. Na pytanie, kim wolałabyś być: Hankiem Moodym z „Californication” czy Michałem Chojnickim z „Klanu”? większość polskich mężczyzn z pewnością opowiedziałaby się za tym pierwszym

dem siebie. Trudno zatem definiować obrazy filmowe czy telewizyjne wyłącznie w oparciu o cechy gatunkowe. Jedyne, co pozostaje, to wspomnienie hollywoodzkiego kina stylu zerowego oraz amerykańskiej telewizji z lat 50. i 60.

Odmiany serialu

Wróćmy jednak do kwestii odmian serialu... Możemy wyróżnić trzy główne tendencje. Pierwsza to domknięte serie, składające się zazwyczaj z kilku „sezonów”, w których każdy z odcinków może stanowić oddzielną narrację. Scenariusz odcinka serii pisany jest z myślą o zakończeniu, a jego konstrukcja składa się z początku, sekwencji kulminacyjnej oraz wyraźnej puenty.

Na drugim biegunie znajdują się telenowełe, charakterystyczne dla rynku Ameryki Południowej, w których z łatwością wyróżnimy główny wątek, zazwyczaj oparty na tradycyjnej fabule melodramatycznej.

Odmienny wariant stanowią opery mydlane, czyli amerykański twór pierwotnie skierowany głównie do żeńskiej części publiczności. Za główne cechy tej odmiany serialu uważa się wielowątkowość, wielość postaci, dużą

Każdy z nas obejrzał kiedyś chociaż jeden odcinek jakiegoś serialu. Któż nie słyszał o fenomenalnym „Dr. House” albo o Ryśku z „Klanu”, który od 2 tys. odcinków każe dzieciom myć ręce? Nieważne, czy to telewizja publiczna, czy komercyjna – wszystkie bez wyjątku serwują nam szeroką ofertę seriali, zarówno polskich, jak i zagranicznych.

Z historii telewizji

W kontekście historii telewizji kwestia serialu jako takiego jest niezwykle istotna. Uważa się go za podstawowy i jeden z najstarszych

gatunków telewizyjnych. Zdaniem teoretyków mediów rządzi logiką telewizji oraz utrzymuje ciągłość owego medium.

W obrębie gatunku telewizyjnego, jakim jest sam serial, występują także konkretne odmiany. W tym miejscu należy jednak podkreślić, że w dzisiejszych czasach kwestia gatunkowości zarówno w kinie, jak i telewizji pozostaje tematem budzącym wiele zastrzeżeń.

Obecnie mamy bowiem do czynienia ze zjawiskiem hybrydyzacji klasycznych gatunków filmowych i telewizyjnych, która polega na swoistym połączeniu kilku z nich, zwykle najbardziej skrajnych wzglę-

liczbę odcinków czy położenie nacisku na problemy i dążność do ich rozwiązywania. Poza tym możemy wyróżnić jeszcze szereg gatunków serialu (medyczny, kryminalny, wojenny, prawniczy, kostiumowy etc.).

Serial polski a zagraniczny

To, że większości z nas podobają się zagraniczne (głównie amerykańskie) seriale, już wiem. Świadczy o tym duża liczba tych produkcji w ramówkach telewizji, które odpowiadają na zapotrzebowania widzów. Widać to w sympatii wyrażanej przez nas w internecie oraz żarliwych dyskusjach dotyczących kolejnej serii „Dextera” czy „Gotowych na wszystko”.

Z badań popularności seriali wynika, że nie jesteśmy obojętni także na nasze rodzime produkcje. Serial „M jak miłość” codziennie gromadzi przed telewizorami miliony widzów. Paradoks polega jednak na tym, że mało kto otwarcie przyznaje się do sympatyzowania z rodziną Mostowiaków. Na pytanie, kim wołałabyś być: Hankiem Moodym z „Californication” czy Michałem Chojnickim z „Klanu”?, większość polskich mężczyzn z pewnością opowiedziałaby się za tym pierwszym.

Może z naszymi współczesnymi serialami jest coś nie tak? Czy Krystyna Lubelska (dziennikarka, pisarka) ma rację, mówiąc, że w polskich serialach brakuje wyrazistych typów psychologicznych, a bohaterowie są najczęściej wyglądowni, grzeczni, nijacy i mało który z nich zachwyca barwnością charakteru oraz osobowością? Czy to, że klamiemy, mówiąc, że nie oglądamy „Brzyduli”, wynika z tego, że wstydzimy się treści w niej prezentowanych? Może po prostu podświadomie czujemy, że polskie seriale tworzone bywają w atmosferze poprawności politycznej, a nierzadko są po prostu nośnikami ideologii?

Co zżera polski serial?

Zacznę od tego, że większość seriali emitowanych przez nasze telewizje to formaty zagranicznych produkcji. Specyfika polega jednak na

tym, że do pierwowzoru na siłę wprowadza się takie wątki i typy postaci, które zdaniem twórców spodobają się polskiemu odbiorcy. Najlepszy przykład to rodzimy odpowiednik amerykańskiej „Niani”. Pamiętam, jak po obejrzeniu pierwszego odcinka nie mogłam uwierzyć w to, co nasi autorzy zrobili z sympatyczną bohaterką znaną mi z pierwowzoru. Polska Frania nie była już dowcipną i zaradną cosmo-girl, tylko wulgarną, nieskomplikowaną dziewczyną, wspólnie z matką reprezentującą wręcz podręcznikową polaczkowatość.

Tożsamość bohaterów polskiej opery mydlanej oparta jest na klasycznych wzorcach męskości i kobiecości, znanych i powszechnie akceptowanych. Wszechobecna schematyczność to chyba jeden z największych zarzutów wobec polskich seriali. W serialach typu „Klan” czy „Na Wspólnej” centrum świata stanowi rodzina i chociaż nie zawsze jest to powiedziane wprost, w większości wpisuje się ona w chrześcijański model życia.

Złona Łepkowska tłumaczy to faktem, że polski widz lubi bliskość własnych realiów. Mimo że serial zawsze pokazuje tę lepszą rzeczywistość, świat przedstawiony musi być podobny do znanego odbiorcy. Takie podejście realizatorów powoduje, że polskie opery mydlane pokazują codzienne życie Polaków, w którym nawiązuje się do powszechnie znanych problemów dręczących przeciętną rodzinę. To oczywiste, że bez względu na częstotliwość występowania danego problemu każda przedstawiona w serialu trudność zostanie rozwiązana jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Zastanówmy się, czy w rzeczywistości losy przypadkowo zainseminowanej „Majki” potoczyłyby się tak szczęśliwie, jak wymyślili to sobie twórcy serialu...

Poprawność czy homofobia?

Kolejny kluczowy problem naszych współczesnych seriali to mizernie „ograne” tematy kontrowersyjne i tabu. Mamy do czynienia

z dwojakim podejściem twórców do kwestii tzw. spraw drażliwych. Jeśli w serialu pojawia się już wątek aborcji, homoseksualizmu, choroby śmiertelnej, wyznania, nałogu etc., to zazwyczaj ukazuje się go jako coś niewłaściwego, dziwnego, nienormalnego, czy wręcz groteskowego.

Najlepszym przykładem takiego postępowania jest sposób kreacji postaci Pshemka, homoseksualisty, projektanta mody z serialu „Brzydula”. Bohater grany przez Jacka Braciaka ubiera się w stereotypowe obcisłe rzeczy, jak na geja przystało ma oddaną przyjaciółkę powierniczkę, bez pomocy której nie jest sobie w stanie poradzić, notorycznie marudzi i boli go głowa, a jedynym ratunkiem pozostaje filiżanka gorącej czekolady.

Jednym słowem – czysta groteska. Dodatkowo wystylizowane, pseudoautentyczne wypowiedzi Pshemka wywołują co najwyżej uśmiech na twarzy widzów, a prawdziwa erekcja ich sympatii do bohatera pojawia się wówczas, kiedy okazuje się, że ma syna. Dzięki Bogu okazał się normalnym człowiekiem...

Drugi wariant stanowią tematy, który w ogóle nie występują w scenariuszach. Wielkimi nieobecnymi są tematy polityczne, społeczno-ekonomiczne czy krytyka Kościoła. Nasi bohaterowie nie są postaciami wyrazistymi, nie wygłaszają własnych poglądów dotyczących podatków, służby zdrowia czy tego, że nie wystarcza im do pierwszego. Serial bowiem powinien być tak skonstruowany, by nie wywoływał niezadowolonych widzów.

Problemy dławiące polski rynek serialowy można by mnożyć bez liku. Obserwując obojętne, czy wręcz negatywne reakcje widzów względem jedynej „jaskółki nadziei”, czyli serialu „Usta, usta”, odnoszę wrażenie, że mało który twórca będzie miał jeszcze kiedyś odwagę proponować polskiemu widzowi coś równie „prawdziwego”. Pokazywanie autentycznych problemów w Polsce po prostu się nie opłaca. Wygląda na to, że akceptujemy kontrowersyjny serial zagraniczny właśnie ze względu na ową „zagraniczność”, a co za tym idzie – szeroko rozumianą odległość od nas.

Marlena Wojnowska

W książce Harukiego Murakami „Norwegian Wood” bohater zмага się z odkryciem na nowo znaczenia takich słów jak „miłość”, „przyjaźń”, „śmierć”, „samotność”, „seks”, „choroba psychiczna”, „starość”, „małżeństwo”

Zapisać znaczy zrozumieć

Książka Harukiego Murakami pt. „Norwegian Wood” jest dla mnie utworem ponadczasowym – nie staje się nudna nawet po wielokrotnym przeczytaniu, a wspomnienie losów głównego bohatera towarzyszy mi od wielu lat.

Tym, co od razu przykuwa uwagę, jest już sam tytuł książki. Wierny swoim muzycznym pasjom Murakami świadomie wykorzystał motyw utworu „Norwegian Wood” grupy The Beatles, stanowiący symbol lat 60. XX wieku. Tamten okres, kojarzony ze studencką rewoltą i utożsamiany ze społeczno-politycznymi przemianami na świecie, również w Japonii odcisnął swe piętno.

W „Norwegian Wood” na każdym kroku napotykamy odniesienia do muzyki będącej tłem dla opowiadanej historii. Owe skojarzenia stają się kanwą, na której została zbudowana interesująca fabuła. Przedstawiona w powieści muzyka stanowi dla głównego bohatera pretekst do wspomnień, jest swoistą układanką elementów, które istnieją tylko dzięki wzajemnym interakcjom.

„Norwegian Wood” to opowieść o trudnym dojrzewaniu w niełatwej, japońskiej rzeczywistości. Głównym bohaterem jest student Toru Watanabe, w którego osobie bez trudu rozpoznajemy samego autora. „Norwegian Wood” możemy zatem postrzegać jako autobiografię Murakami. Świadczy o tym podobieństwo losów głównego bohatera i biografii pisarza oraz prowadzona w pierwszej osobie narracja, realistycznie nakreślająca ramy powieści.

Na pozór wydaje się, że główny wątek opowieści stanowi historia miłosna. W tym wypadku trzeba go jednak traktować jako pretekst narracyjny do ukazania uniwersalnych prawd o życiu. Kiedy głębiej wnikniemy w lekturę „Norwegian Wood”, odnajdziemy tam refleksje o przemijaniu, o zanikaniu wspomnień, o gorącej chęci zatrzymania tego, co w nas ulotne. To także wnikliwa analiza tego, jak młody człowiek radzi sobie z odnajdywaniem siebie w otaczającej go rzeczywistości.

Powodem, dla którego główny bohater chce spisać wspomnienia, bo wokół nich toczy się cała powieść, jest – paradoksalnie – ich zanik. Autor wraca pamięcią do



ważnych wydarzeń z przeszłości, chce je sobie przypomnieć i zapisać. Aby coś zrozumieć, muszę najpierw spróbować to zapisać – zdradza. Bohater zмага się z odkryciem na nowo znaczenia takich słów jak *miłość, przyjaźń, śmierć, samotność, seks, choroba psychiczna, starość, małżeństwo*.

W „Norwegian Wood” najbardziej zaskakuje nietypowa dla autora szczegółowość opisów. W dotychczasowych powieściach Haruki Murakami bardzo oszczędnie operował detalami. W tym wypadku narracja została nasycona konkretami, świadczy o tym chociażby skrupulatny opis życia studenckiego w akademiku. Innym atutem powieści wydaje się częste stosowanie retardacji (opóźniania biegu akcji). Murakami doskonale wie, jak opowiadać historię, by zaciekać czytelnika.

W książce Murakami nic nie jest powiedziane wprost. Dotyczy to także wspomnianego już wątku miłosnego, ukazanego w sposób wielowymiarowy. Autor niezwykle sprawnie i łezycznie prowadzi czytelnika przez uczuciowe rozterki bohatera, zmusza nas do zaangażowania się w opowieść, pozostawiając szeroki margines na własną interpretację. Pytania zadawane przez Toru są stawiane w taki sposób, żebyśmy bez trudu mogli się z nimi utożsamić. Mamy poszukiwać własnych odpowiedzi i czytać między wierszami.

Katarzyna Sternalna

Haruki Murakami, *Norwegian Wood*
Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA,
Warszawa 2006, 2007;
przełożyły z japońskiego Dorota Marczeńska i Anna Zielińska-Elliott

Początek nowego roku to czas podsumowań,
kiedy każdy z nas robi bilans zysków i strat.
Jedno jest pewne: ten rok był międzynarodowym
świętem Fryderyka Chopina



Uczta dla duszy i zmysłów

Fryderyk Chopin jest postacią rozpoznawalną na całym świecie. Ma wielbicieli wśród ludzi różniących się kolorem skóry, wyznaniem, poglądami. Wszystkich ich połączyła kiedyś genialna, ponadczasowa i ponadwymiarowa muzyka naszego wielkiego rodaka, zaliczanego do grona takich sław jak Bach, Mozart, Vivaldi czy Beethoven.

Przez ostatnich dwanaście miesięcy obchodziliśmy w Polsce rok chopinowski, związany z dwusetną rocznicą urodzin mistrza. Dzięki temu mieliśmy okazję dowiedzieć się czegoś ciekawego na temat życia i twórczości kompozytora.

Spośród wielu wydarzeń warto wymienić te, które moim zdaniem szczególnie mocno podkreśliły to, jak bardzo Fryderyk Chopin jest nam bliski, pokazujące go z nieco innej perspektywy. Chodzi mi o wydanie książki „Fryderyk Chopin” autorstwa Bogusława Kaczyńskiego oraz pojawienie się na rynku dwóch płyt: „Chopin dzieciom” i „Chopin w Chicago”.

Książka „Fryderyk Chopin” to pozycja tak bardzo odbiegająca od dotychczasowych publikacji o tematyce chopinowskiej, że prawdopodobnie długo nic jej nie dorówna. Napisana została z lekkością i swadą charakterystyczną dla znawcy i konesera muzyki poważnej Bogusława Kaczyńskiego. Autor, który wiele już pokoleń zaraził miłością do muzyki klasycznej, prowadzi nas przez kolejne stronicie z tym samym, arcymistrzowskim połotem, z jakiego słynie od lat. Warta podkreślenia jest również strona edytorska: piękna, twarda oprawa i reprodukcje ilustracji autorstwa Fryderyka Chopina (nie każdy bowiem wie, że kompozytor również przepięknie rysował). Całość cieszy i duszę, i zmysły.

Płyta „Chopin dzieciom” to z kolei zupełnie wyjątkowa składanka utworów Chopina, doskonale nadających się do wprowadzania maluchów w świat muzyki fortepianowej. Dzięki znakomicie dobranym utworom mają one szansę w sposób absolutnie „bezkolizyjny” zanurzyć się w świat mistrza. Zdaniem fachowców muzyka klasyczna dodatkowo wspomaga u dzieci harmonijny rozwój, pozwala zarówno doskonale się bawić, jak i spokojnie zasypiać. Utwory na tej płycie zostały skrócone, żeby łatwiej przyswajały je mali odbiorcy, ponadto doskonale nadają się one do tego, by puszczać je dzieciom jeszcze nie narodzonym. To wspinały sposób na relaks dla mam i ich pociech.

Warto dodać, że do płyty dołączona została książeczka zawierająca kolorowe rysunki, objaśnienie nutek i kluczy muzycznych. Płyty tej z pewnością nie powinni przegapić rodzice, którzy chcą właściwie edukować muzycznie swoje dzieci.

Jeśli zaś chodzi o płytę „Chopin w Chicago”, to już sam tytuł wydaje się mocno frapujący. Jest to zapis koncertu pianistki Haliny Czerny-Stefańskiej, z udziałem tenora Juliana Ursyna Niemcewicza, który odbył się w 1999 roku wielkiej sali Copernicus Center i prowadzony był przez Bogusława Kaczyńskiego.

– *To moja opowieść o Chopinie z fragmentami poezji. Na pewno tyle powinno się przynajmniej wiedzieć o Chopinie, ile mówię na tej płycie* – podkreśla Bogusław Kaczyński.

Kiedy przechadzam się wieczorami przez ośnieżone Planty, czuję, że muzyka Chopina jest cały czas ze mną, że jego duch unosi się nad Barbakanem i odżywa w starych krakowskich murach. Może sprawia to widok podświetlonego fortepianu nieopodal Teatru im. J. Słowackiego, a może odżywa się wyczulona na tę muzyczną metafizykę cząstka mojej duszy? Z pewnością dobrze jest być obywatelem świata Chopina, tak jak on był obywatelem świata.

Andrzej Kurdziel

„eSPeJotka” to inaczej „Studencka Poradnia Językowa”.
Pliszcie i dzwońcie do „Mixera” we wszelkich sprawach
dotyczących poprawnej polszczyzny

eSPeJotka (2)

Dlaczego wziąć (a nie: wziąć)



Maciej Malinowski jest mistrzem ortografii polskiej (katowickie „Dyktando”), autorem książek „(...) boby było lepiej. Mistrz polskiej ortografii pokazuje, jak trudna jest polszczyzna, i namawia językoznawców do... zmian w pisowni (Kraków 2002 r.); „Obcy język polski” (Łódź 2003 r.) oraz „Co z tą polszczyzną?” (Kraków 2007 r.). Od 2002 r. prowadzi rubrykę językową w ogólnopolskim tygodniku „Angora”.

Polacy prawie powszechnie mówią *wziąć* zamiast *wziąć*, bo mają zakodowane w głowie, że jest *siąść* i *wsiąść*. O pewnej osobliwości w budowie tego czasownika nie wiedzą nawet studenci filologii polskiej, nie umieją tego klarownie wytłumaczyć nauczyciele w szkołach.

A cała rzecz wcale nie jest taka trudna do wyjaśnienia i zrozumienia. Ów bezokolicznik należy do tej samej grupy, co czasowniki *przyjąć*,

zająć, *wyjąć*, *zdyć*. Składa się bowiem z przedrostka *wz-* (tego samego, co w czasownikach *wzbudzać*, *wzbraniać*, *wznieść*, *wznówić*) i rdzenia *-jąć*, tego, który występuje w przywołanych wyrazach *przy-jąć*, *za-jąć*, *wy-jąć*, *od-jąć*. Pierwotnie była to forma *wz-jąć*, ale ze względu na trudną do wymówienia zbitkę spółgłosek [wzj-] w ciągu wieków *wzjąć* przeszło w *wziąć*. Proste, prawda?

Tak więc nie wolno włączać bezokolicznika *wziąć* do tej samej grupy wyrazów, co *siąść*, *wsiąść*, *wysiąść*, *trząść*.

Do tej samej rodziny, co *wziąć* zalicza się ponadto bezokoliczniki *przedsięwziąć*, *uwziąć* (*się*), *zawziąć* (*się*), *powziąć*. Również wyrazy pochodne nie zawierają nigdzie cząstki *-ść*. Mówi się *przedsięwzięcie*, *wzięty*, *zawzięty*, *zawzięcie się*.

– *Kobieta jest zawsze do wzięcia, a nie do wzięcia* – podkreślał pewien wykładowca (wprawdzie narażał się na uwagi niewiast, ale do wszystkich dotarło).

Właściwie jedynym wyrazem od czasownika *wziąć*, w którym występuje dziś końcówka *-ść*, jest *rękojęść*. Dawniej była to jednak *rękojęć*...

Może kiedyś językoznawcy skapitulują i zezwolą na mówienie i pisanie *wziąć* lub *wziąć*, albo wręcz dadzą

pierwszeństwo czasownikowi *wziąć* (jeśli ta forma się upowszechni).

Zdradzę Wam na koniec, że *wziąć* zdarzyło się napisać... Adamowi Mickiewiczowi w „Panu Tadeuszu”. W *Księdze I: Gospodarstwo* (wers 276) czytamy: „Zamku żaden *wziąć* nie chciał”, a w *Księdze II: Zamek*: „Prawować się o lisa i przyzywać drabów, By *wziąć* w areszt ogara, że wpadł w cudze gaje”.

Błędne *wziąć* zamiast *wziąć* używali też inni poeci, np. Adam Asnyk (1838-1897): „*Podskoczyłam jak najprędzej / Świeży wątek wziąć, / Chciałam złotą nitkę prząć... / Lecz zabrakło przędzy*” (pieśń Ignacego Paderewskiego „Gdy ostatnia róża zwiędła”) czy Kazimierz Brodziński (1791-1835): „Gdy zasługa *wziąć* się wstydzi, / Weźmie czelność – i wyszydzi” („Nauka świata”).

Czy macie się teraz „podpierać” wielkimi pisarzami, kiedy ktoś zwraca Wam uwagę na niepoprawne *wziąć*? Językoznawcy biorą dziś w obronę Mickiewicza. Twierdzą, że wieszcz świadomie posłużył się formą *wziąć*... A może było inaczej? Może poeta również zasugerował się czasownikami *siąść*, *trząść*, *wysiąść*, *posiąść* i wrzucił *wziąć* do tego samego worka...

Maciej Malinowski

Kobiety przychodzą na imprezę po to, żeby tańczyć, a nie po to, by siedzieć.
Zróbmy to tylko tak jak należy. Nie wybierajmy partnerki, stojąc na środku sali
i rozglądając się. Nie przebijajmy, nie mierzymy wzrokiem od stóp do głów jednej po drugiej

Co o tanecznym savoir-vivreze wiedzieć należy

*Tuż po świętach Godów
Sam karnawał zaprasza na bal...
Dalej w tany, moi mili,
Byśmy w tańcu się zgubili.
Do tanga i do oberka:
Ona skromna, a on zerka,
I zagląda słodko w oczy,
Toć karnawał przecież kroczył*

Krystyna Pilecka,
współczesna poetka
i pisarka z Koszalina

Karnawał trwa w najlepsze, okazji do tanecznego szaleństwa jak o żadnej innej porze roku wyjątkowo dużo. Jednak czy na pewno sam taniec to wystarczająca recepta na udaną imprezę?

Spontaniczność jest mile widziana, ale bez względu na to, jak daleko cofnęlibyśmy się w czasie i do jakiego rejonu świata udałoby nam się dotrzeć, najważniejsze obyczaje obowiązujące na parkiecie pozostają takie same. Przy odrobinie wiedzy i ćwiczeń przemiana z nieokrzesanego typu w świadomego dobrego maniera uczestnika zabawy stanie się faktem. Oto kilka rad na temat owej tanecznej etykiety.

Smoking? Glany? Niekoniecznie...

Przede wszystkim „jak nas widzą, tak nas piszą”, dbajmy więc o wygląd zewnętrzny. Współczesna potańcówka przestała być imprezą dla gości w smokingach i sukniach balowych – tu każdy jest mile widziany i nikt nie zostanie odprawiony z powodu postrzępionych dżinsów, sportowych butów czy dresu.

Taniec ma jednak swoje wymagania. Wybierając strój, trzeba się trzymać jednej ogólnej zasady: ubrania muszą być wygodne i nie powinny ograniczać swobody ruchów, a zwłaszcza nóg. Poza tym niech reguły związane ze strojem dyktuje moda oraz... ilość potu, jaki zamierzamy z siebie wycisnąć. Zabezpieczmy się dodatkowym ciuchem na przebranie, które zmienione po całonocnych tańcach, pozwoli zapobiec gwałtownemu wychłodzeniu czy przeziębieniu.

Buty do tańca to problem nieco bardziej skomplikowany. Zaczniemy od wygody – stopa musi się czuć komfortowo.

Panie, unikajcie kłapek na cieniotkich obcasach i butów, w których wkładka porusza się niezależnie od stopy. Panowie, nie wkładajcie głąnów. Wasze buty również powinny być lekkie i elastyczne. Pamiętajmy o tym, by zawczasu ochraniać wrażliwe miejsca plastrami i umieszczać wkładki w palcach, na piętach i w każdym innym miejscu narażonym na choćby małe otarcie.

Kulturalnie, czyli jak?

Po drugie – zachowujmy się kulturalnie, to znaczy tak, by nie zwracać na siebie uwagi i nikomu nie sprawiać przykrości. Nie straszmy otoczenia przesadnym makijażem, nagłym wybuchem zbyt głośnego śmiechu, nie trzymajmy rąk w kieszeniach. Nie ma sytuacji, w której byłoby to usprawiedliwione. Nie nośmy też w kieszeniach żadnych przedmiotów, a konieczne drobiazgi, takie jak telefon komórkowy, trzymajmy w wewnętrznej kieszeni marynarki lub w torebce.

Tańcząc, nie zaczepiamy wzrokiem czy uśmiechem innych, nie porozumiewamy się z przyjaciółmi ponad głową partnerów, co ma oznaczać zachwyt albo zupełnie co innego. Nie klaszczmy i nie pstrykajmy w rytm muzyki. Nieumiejętne posługiwanie się dłońmi przy wyczuwaniu rytmu na parkiecie może kogoś innego bardzo rozpraszać. Tańczy się nogami, dlatego to właśnie nogi trzeba przyzwyczajać do reagowania na muzykę.

Na osobie prowadzącej spoczywa obowiązek unikania wszelkich rodzajów kolizji na parkiecie i zapewniania partnerce poczucia bezpieczeństwa poprzez dobieranie odpowiednich figur. Jeżeli jednak dojdzie do potrącenia kogoś, to trzeba przeprosić. W miejscach pu-

blicznych, gdzie tańczy wiele osób, zawsze zdarzają się kolizje. Dotyczy to przeważnie klubów nocnych, w których leje się sporo alkoholu.

Figury taneczne wybierajmy tak jak podczas jazdy samochodem – zmierzajmy ku otwartej przestrzeni. Jeżeli takiej nie widać, to się nie przemieszczajmy. Sprawdza się zasada: patrz, gdzie idziesz.

Panowie, podczas tańca prowadźcie partnerkę w odległości około metra od krawędzi parkietu, stolików, krzeseł i gapiów. Dzięki temu unikniecie starcia z nogami gości siedzących przy stoliku. Ich stratomane obuwie nijak nie osłodzi naszego upadku. Pamiętajcie o tym, że para potrzebuje więcej przestrzeni niż jeden człowiek, że podczas tańca odległości się bardzo skracają. Najlepiej unikać tańca w rogu sali. Niedoświadczone pary często nie potrafią się z niego wydostać i patrzą niezadowolone, jak inni swobodnie krążą po parkiecie.

Akrobacje taneczne – wszystkie ewolucje, podczas których partnerka jednocześnie odrywa obie nogi od ziemi – są bardzo niebezpieczne. Samo obejrzenie czegoś w „You Can Dance” lub „Tańcu z Gwiazdami” nie oznacza jeszcze, że umie się to wykonać samemu. Takich figur nigdy nie należy ćwiczyć na ogólnodostępnym parkiecie.

Piękna nieznajoma

Czy wypada poprosić do tańca nieznajomą? Jak najbardziej. Kobiety przychodzą na imprezę po to, żeby tańczyć, a nie po to, by siedzieć. Zróbmy to tylko tak jak należy. Nie wybierajmy partnerki, stojąc na środku sali i rozglądając się. Nie przebijajmy, nie mierzymy wzro-

» kiem od stóp do głów jednej po drugiej. Nie naradzajmy się w kącie z kolegą, patrząc po kolei na każdą.

Jeżeli się już zdecydowaliśmy, nie zmieniamy decyzji tuż przed jej nosem, robiąc w tył zwrot i kierując się w inną stronę. Ukłonmy się. Ukłon może być tak wymowny, że wystarczy za słowa, ale możemy go jeszcze podkreślić, mówiąc: „Czy mogę prosić do tańca?”.

Jeśli wybranka się nie zgadza (biedna przesiedzi już cały taniec, bo jeśli komukolwiek odmówiła, tłumacząc się zmęczeniem czy nieumiejętnością, nie wypada jej już z nikim tego tańca tańczyć), to wtedy z czarującym uśmiechem (niech żałuje!) powiedzmy: „Przepraszam”, ukłonmy się i spokojnie odejdzmy. Jeśli się zgodzi, wstanie i po-dejdzie do nas, przedstawmy się. Wtedy na pewno poda nam rękę, wymieni imię i... zacznijcie się wspólny taniec.

Odkrycie, że nieznajoma, z którą tańczyliśmy, to właśnie owa wymarzona i jedyna na świecie osoba, nie zwalnia nas od obowiązków wobec ludzi, z którymi przyszliśmy do klubu. Postarajmy się jednak nie stracić partnerki z pola widzenia. Może się bowiem okazać, że jest naprawdę niezastąpiona.

Humor nade wszystko

Nie przypominajmy sobie nagle, że jutro mamy ważny egzamin. Jeśli nawet dojdziemy do wniosku, że impreza, na której jesteśmy, to strata czasu, nie tracimy humoru. Nie zapadajmy w głęboką zadumę i nie siedźmy z miną, która wprowadza otoczenie w niepokój i zmusza do ciągłego dopytywania się: co nam się stało?

Na zakończenie, jeszcze jedna uwaga. Słowo „przepraszam” użyte w odpowiednim momencie i połączone z uśmiechem potrafi dać zaskakujące efekty. Niestety, w pewnych sytuacjach i ono nie wystarczy, gdy na przykład oblejemy sąsiada czerwonym winem... Jeżeli coś takiego nas spotka, wykażmy aktywną pomoc w usuwaniu skutków tego nieszczęśliwego zdarzenia.

Jeśli nie poruszyłem w tekście jakiegoś zagadnienia, to tylko dlatego, że wydało mi się tak jasne, iż nie potrzebuje przypominania czy komentarza. Udanej zabawy karnawałowej!

Maciej Saskowski

Obudź się na nowości!

FILM

„Zabiłem moją matkę”

(J'ai tué ma mère) – długo po światowej premierze dotarł do nas filmowy debiut **Xaviera Dolana**, którego znamy w Polsce z „Wysnionych miłości”. Tym razem młody Francuz sięga do własnego życia i trudnej relacji z matką. Przenosi na ekran dramatyczną historię paradoksów dojrzewania, które prowadzą do ciągłej frustracji i w efekcie dramatu młodzieńca. Po raz kolejny wielki plus za ścieżkę dźwiękową. Dobrze, ambitnie i cieszące oko kino. Spożywać z lampką lub butelką wina. Premiera 14 stycznia bm.

„Czarny Łabędź” (**Black Swan**) – jedna z najbardziej oczekiwanych premier stycznia, czyli genialny obraz **Darrena Aranofsky'ego**, znanego szerszej publiczności m.in. z „Requiem for a dream”. Druzgocący i poruszający do głębi. Być może najlepszy film tego roku, a dla od-twórczyni głównej roli **Natalie Portman** duża szansa na nagrodę „Oscara”. Zachwyca! Zobaczcie koniecznie! Premiera 21 stycznia bm.



PLYTA CD

„Dust Lane” – wytwórnia Mute z radością ogłasza podpisanie kontraktu z **Yannem Tiersenem** i zapowiada

wydanie jego niecierpliwie wyczekiwanego nowego albumu. Wyprodukowana przez **Yanna Tiersena** i zmiksowana przez **Kena Thomasa** (Sigur Rós, M83, Moby) „Dust Lane” to pełna klasycznych, elektronicznych brzmień i klimatów płyta, którą opisuje jako „podróż zakurzoną dróżką, która prowadzi nas do śmierci. Nie jest ona smutnym, lecz barwnym, czasem bolesnym, ale zazwyczaj radosnym doświadczeniem: to życie!”.

„White Line” – **Thelma & Clyde** to przewrotne pseudonimy dwójki Norwegów **Hanne Kolsto** i **Trygve Tamb-s-Lyche**, którzy właśnie poczynili debiutancki krążek, za sprawą wytwórni **Karmakosmetix records**. „Biała linia prowadzi słuchacza przez wysmakowany trip-hop, zahaczając o kolorowe światła dobrej dyskoteki”. W erze mnóstwa dobrych elektronicznych wydań Norwegowie wypadają świetnie. Wciąż potrafią zaskoczyć słuchacza przemyślanymi tekstami i niszowym luźnym wizerunkiem.

DVD

„Matka Teresa od kotów” – debiut **Pawła Sali** należy potraktować z uwagą. Film jest zaskakujący i nietypowy, jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że rodzima kinematografia nas do takiego kina nie przyzwyczaiła. Sala zmusza widza do wyjątkowego



skupienia, ale paradoksalnie podchodzi uniwersalnie do tematu tabu. Wskazuje nam

jedynie początek drogi ku interpretacjom dramatu tylko pozornie zwyczajniej polskiej rodziny. Nagrodzeni na festiwalu filmowym w Karlowych Warach Mateusz Kościukiewicz wraz z Filipem Garbaczem udowadniają, że są aktorami o wielkiej ekranowej charyzmie i ogromnej wrażliwości. Premiera na DVD 13 stycznia bm.

„Bazyl. Człowiek z kulą w głowie” (Micmacs à tire-larigot) – Bazyl nie ma szczęścia do broni. Kiedyś – wybuch miny na marokańskiej pustyni, teraz – zabłąkana kula, która utkwiała mu w mózgu. Przed laty został sierotą, dziś może w każdej chwili umrzeć. Po wyjściu ze szpitala ląduje na ulicy. Łagodnego marzyciela o wybujałej wyobraźni przyciąga grupa „szmaciarzy” o różnorodnych i niecodziennych talentach, mieszkających w istnej jaskini Ali Baby. Przewrotna komedia twórcy „Amelii”. Premiera na DVD 13 stycznia bm.

KSIĄŻKA

„Jedenaście” Mark Watson (Świat Książki) – to pomysłowa, napisana z wdziękiem i humorem powieść obyczajowa, ilustrująca teorię „efektu motyla”. W jednej z londyńskich rozgłośni radiowych Xavier prowadzi audycję na zasadzie poradni dla słuchaczy. Sęk w tym, że bohater sam nie radzi sobie

z życiem. Pewnego dnia nie jest w stanie zapobiec pobiciu trzynastolatka, a ten z pozoru nic nieznaczący epizod wywołuje lawinę zaskakujących Xavier zdarzeń. Błyskotliwa i ciepła opowieść o sile przypadku, gniewie i miłości w metropolii.

„Codziennosc” Ewa Schilling (halart) – „Codziennosc jest najgorsza (...). Horror rozmyty, oswojony, zamknięty między kuchnią a ubikacją, niewypowiedziany, nie nakręcony kamerą, fizycznie objawiający się tylko bólami głowy, snem, z którego nie można się obudzić bez czterech budzików”. Alina, Teresa, Wanda, Emilia, Justyna, Bożena, Małgorzata, Julia, Kalina, Weronika, Agata, Irena, Monika – trzynaście kobiet, trzynaście codzienności, które pokazują drugie dno życia lesbijek we współczesnej Polsce.

GADŻET

Futurystyczne zegarki NOOKA – zaprojektowane przez Nowojorczyka znudzonego tradycyjnym przedstawianiem czasu zegarki firmy NOOKA to jeden z bardziej pożądanych gadżetów. Czas odmierzany jest elektronicznie przy pomocy liniowych wskaźników, które przypominają paski postępu przy ładowaniu gry lub ściąganiu plików z Internetu. Dwa górne paski pokazują godziny, trzeci minuty, a czwarty sekundy. Wbrew Twoim obawom nie będziesz musiał liczyć kwadracików, zegarki są bardzo „intuicyjne” i proste w obsłudze. Więcej na nooka.com

Przygotował:
WIAT

Zapraszamy 13 lutego na koncert Michała Gasza, zwycięzcy finału „Szansy na sukces”, do Klubu Garnizonowego w Krakowie

„Nie wstydź się mówić, że kochasz”



Fot. Marek Sendek

13 lutego o godz. 19 w Klubie Garnizonowym przy ul. Zybkiewicza 1 odbędzie się koncert walentynowy. Wystąpi Michał Gąs, zwycięzca finału „Szansy na sukces”, i tajemniczy gość specjalny.

„Nie wstydź się mówić, że kochasz” to wydarzenie w przeddzień Dnia Zakochanych z udziałem Piotra Rubika. Michał Gąs, przy akompaniamencie Adama Rybaka (instrumenty klawiszowe), zaśpiewa piosenki o miłości ze swojego repertuaru oraz utwory Piotra Rubika (m.in. „Psalm dla ciebie”, „Niech mówią że to nie jest miłość”).

Wieczór będzie obfitował w niespodzianki szczególnie dla par, które pojawią się na koncercie i w taki sposób zechcą spędzić święto zakochanych.

Ponieważ piosenki o miłości nie mogą być wykonywane wyłącznie przez mężczyznę, Michał Gąs zaprosił do udziału w koncercie gościa specjalnego. Będzie to piękna, obdarzona wielkim talentem kobieta, dobrze znana krakowskiej publiczności.

Andrzej Kurdziel

Bilety 38 zł normalny, 35 zł studencki
Rezerwacja biletów:
Impresariat2011@interia.pl



Photo by Desirée Delgado

Gra na wielu historiach... o literaturze Olgi Tokarczuk

Konferencja z Olgą Tokarczuk w roli głównej

20 stycznia 2011, godz. 11.00 -16.00

Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza-Modrzewskiego
Kampus, ul. G. Herlinga-Grudzińskiego 1, Sala Senacka

Zakład Kulturoznawstwa KA im. A. Frycza-Modrzewskiego zaprasza na spotkanie z autorką „Prawieku i innych czasów”, „Ostatnich historii”, „Bieguniów” i wielu innych powieści oraz opowiadań. Spotkanie poprzedzone zostanie kilkoma wykładami, wprowadzającymi do twórczości Pisarki. Dyskusja, prowadzona także przez Studentów, toczyć się będzie wokół pytań o rolę literatury w wyjaśnianiu rzeczywistości współczesnej. Zapytamy zatem: jaką funkcję ma dziś narracja? Czy literatura uczy? Czy uczyć powinna? Tematem spotkania stanie się także literatura w tłumaczeniu przy okazji najnowszego tłumaczenia na język angielski „Prawieku i innych czasów”.



Krakowska Akademia
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

PROGRAM

- 11.00. Powitanie Uczestników i Gości
- 11.15-11.30 Wprowadzenie: Olga Tokarczuk, czyli jak opowiedzieć naszą współczesność? (dr Urszula Chowaniec)
- 11.30-12.00. Olgi Tokarczuk Camera raritatis, albo o manierycznym kolekcjonowaniu dziwów i współczesnej formie kunsztowności na przykładzie powieści „Bieguni” (dr Marta Raczek)
- 12.00-12.30 – „Aria Diva” (reż. Agnieszka Smoczyńska) jako adaptacja opowiadań Olgi Tokarczuk „Ariadna na Naksos” (dr Anna Taszycka)
- Dyskusja
- 12.45-13.45 Przerwa na lunch
- 13.45 -15.00 Spotkanie z Olgą Tokarczuk (prowadzi dr Urszula Chowaniec, dr Ursula Phillips)
- 15.00-15.15 Przerwa na kawę
- 15.15-16.00 Literackie przesłuchanie: Olga Tokarczuk kontra Studenti z Frycza